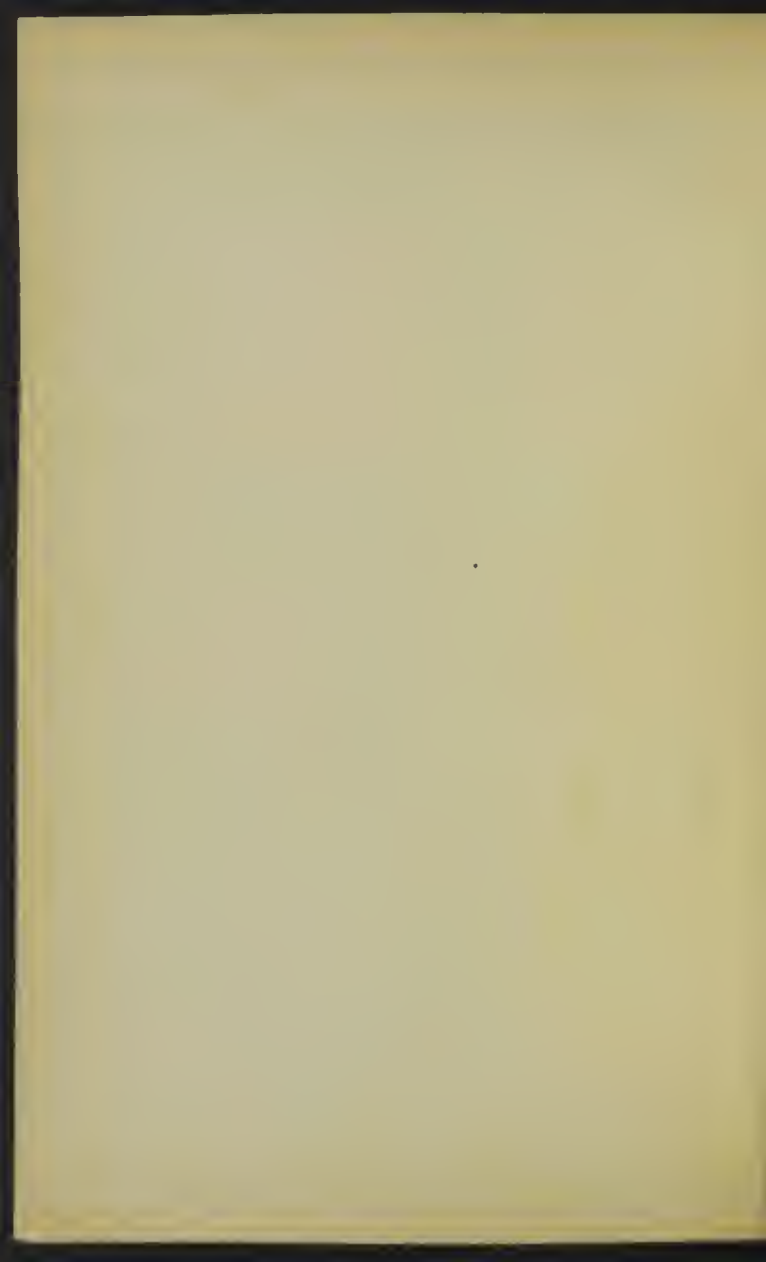


SYN JAZDONA.



SYN JAZDONA.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

z czasów Bolesława Wstydliwego
i Leszka Czarnego.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM III.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

Druk J. Jeżyńskiego, Daniłowiczowska 16.

—
1897

Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Марта 1897 года.



I.

Pustkami teraz stał najczęściej biskupi dworzec w Krakowie. Rzadko się tu zjawiał ksiądz Paweł, jakby mu to miejsce przykre mi wspomnieniami obrzydło. Siedzieć wołał w Knnowie, chociaż i tu niemiłe zostały pamiątki, w Łagowie albo na jakim innym kościelnym folwarku. Sprawiał sobie lowy, z miejsca na miejsce przenosząc się często, jakby na jednym długo obawiał się lub nie mógł wysiedzieć.

Za nim, gdziekolwiek ciągnął, wlokły się gromady różnego rodzaju ludzi, nieznanych przybłędów ze wszystkich części Polski, z Pomorza. Słazka, z Rusi, odarte klechy, ziemianie niewiadomego gniazda, rycerstwo najemne, czeladź do wszelkiej posługi.

Wszystko to piło, jadło, kłaniało się, na skinienie rozbiegało w różne strony, powracało z wycieczek z tajemnymi donosy i ruszało znowu.

Z Krakowa też ziemianie niektórzy zniechęceni do Bolesława lub ujęci, z Sandomierza, z Sieradzkiego, co było swoim panom nieprzyjaznych, znajdowało tu ucho i przytułek.

Gdy przy stole sobie podochocono, obcy człek mógł się tam dziwnych nasłuchać rzeczy, ale wszyscy byli swoi, a kto do biskupa łgał, ten już przybywał z żarzewiem w sercu przeciw Bolesławowi i Leszkowi.

— Nie będę żyw, jeżeli ich nie powypędzam precz, a innych na ich miejsce nie posadzę!

Tak się odgrażał biskup, znosząc się i spiskując na wsze strony. Obiecywali mu się wszyscy, ale nikt pierwszy zacząć nie chciał.

Wahali się Mazowiecy książęta, Ślązcy się z sobą gryźli, o Wielkopolskich myśleć nie było można, bo ci z Leszkiem trzymali.

Jednego zimowego dnia, gdy biskup z długiej wycieczki jakiegś do Kunowa powrócił, a spoczynku potrzebował, dano księdzu Pawłowi znać, że dwu jakichś ziemian mówić z nim chciało i dopraszało do niego.

Ziemian, a zwłaszcza krakowskich, biskup był bardzo żądnym, wstał więc prędzej niż zamierzył, aby się rozmówić z nimi.

Sprawy były pilne.

W domu u niego w Kunowie, jak u ziemianina, który rzadko u siebie gości, a trzyma tylko dwór, byle miał gdzie spocząć w przejeździe; ładu wielkiego nie było. Po izbach niktyby się nie domyślał biskupa, załęgaly je psy, a oreża więcej było niż świętości.

Komora ta, w której biskup przyjmował i wiódł na rozmowę, nieinaczej wyglądała.

Na ścianach wisiały oszczepy i mieczyki, na podłodze leżały skóry, na stole parę knfli stało i dzbanek. W domu Paweł innej też sukni nie nosił tylko krótką łowiecką, rzemiennym pasem ujętą, buty długie. Na palcu pierścień jeden, którego nie zrzucił, dostojność przypominał.

Otworzywszy drzwi do komory, w której byli ziemianie oczekiwać już nań musieli, biskup wyrzwał i spostrzegłszy stojących — krzyknął... krew mu do głowy buchnęła.

U progu stali dobrze mu znani i pamiętni Żegota i Otto Toporezyki, wrogowie jego! Oczom mu się wierzyć nie chciało! Stał niepewien czy ma do nich wyjść, czy ich kazać chwycić lub wyszezczać psami, gdy starszy Żegota podszedł kroków parę ku niemu, głowę skłonił i rzekł:

— W. Miłość zrozumiecie to łatwo, że gdyśmy tu przyszli, to nie po próżnicy.

Srogą macie urazę do nas, a no może większą nad nią chciwość pomsty nad Bolesławem. Ten nas zaparł się, więził, cześć nam odebrał. Wy przeciwko niemu byliście i jesteście, myśmy mu służyli, a teraz mścić się też gotowi. Nam innego pana potrzeba.

Słyszając to biskup, wszedł powoli do komory.

— Prawdę mówicie? — zapytał.

— Na krzyżu i ewangelji gotowiśmy ją poprzysiądz — zawołał Żegota, uaprawdę się oglądając, czy krzyża albo księgi nie zobaczy. Ale tych u biskupa nigdy nie było.

Słuchał ks. Paweł zdumiony nieco, twarz mu się zwolna wyjaśniała, Żegota mówił gorąco:

— Pzebaczcie nam cośmy zawinili, teraz my wam do pomsty służyć jesteśmy gotowi. Wynieśliśmy się z bratem na Ślązko, do księcia Władysława Opolskiego. Przyjął nas. Z majątności w krakowskiem i sandomierskiem wyprzedaliśmy się, chociaż tam ród nasz i przyjaciół a powinowatych mamy. Na Ślązku przez nas sprzymierzeńców znajdziecie przeciw Bolesławowi i Leszkowi.

Słuchał biskup i rozpatrywał się w nich obu. Oba oni, śmiało patrząc nań, odzywali się jeden coraz goręcej, drugi potakując mu we wszystkim. O zdradę posądzać ich nie było sposobu.

— Chce się, M. Wasza, pomścić się za więzienie — ciągnął dalej Żegota — my także. Mało tego! my za wygnanie pomsty szukamy, musieliśmy iść na nie, od starego gniazda naszego. Mówią ludzie, szliście po dobrej woli, nikt nie pędził. Pędził srom! Musieliśmy precz! Więzienie cześć nam odjęło! Ziemianninowi ze zbójcami siedzieć w ciemnicy jednej, nieprzebaczone to. ani zapomnianie być nie może!

A gdy człek tę ziemię dziadowską, pradziadowską rzucić mnsi, w cudze ręce macierz dać, iść między obcych... o! o!

Otto dodał pierś ręką gniotąc:

— A! boli to nad wszystkie boleści.

— Nie znamy tego za pana—rzekł Żegota—co nas nie znalazł za sługi swoje.

Paweł oparty o stół, patrzył, słuchał.

— Ze Ślązakami—przebaknął—pono niewiele zrobić można. Znam ja ich, i macałem po jednym. Zajądają się między sobą, czyhają na siebie. W Opolu, Lignicy, Wrocławiu trudno się ladu dopytać!

— Oh!—zawołał Żegota, śmiałości nabierając.—Pomną oni wszyscy, że jakieś prawo do Krakowa mają, niech im tylko nadzieja zaświeci.

Zamysłony biskup się wahał. Starszy Toporczyk ciągnął dalej:

— My oba, z księciem Władysławem, na którego dworze zostajemy, poufale każdej godziny mówić możemy. Inna to rzecz przybyć doń i parę słów wymieniwszy, powracać, a różna codzień po troszę kłaść mu do ucha. Niech nam M. Wasza dobre słowo da, a posłuży się nami, my go zwolna gotować będziemy. Siłę on ma... byle wolę chciał mieć.

— My tam dla Was rolę dobrze zorzemy i przegotujemy... potem będzie tylko ziarno siać!

A gdyby z Opolskim nie udało się, Wrocławskiego też możemy próbować, choćby też i Lignickiego.

Nie kończąc Żegota, znak ręką uczynił wzgardliwy. Niewiele go ważył.

— Wszyscy oni ciasno się czują na swoich Ślązackich udziałach, każdemu się chce więcej.

Biskup nie odpowiadał, lecz z twarzy widać było, że mu to było milem co słyszał i coraz lepszem okiem spoglądał na dawnych swych wrogów.

Co za zrażenie Boże! Mógłże się on kiedy spodziewać, by ci, których koniecznie śmiercią chciał karać, mieli przejść w służbę jego! Czasem zaborczy ks. Paweł widział w tem palec Boży, skazówkę, że mu się teraz poszczęścić miało. Dotąd z niedowierzaniem przyjmowano namowy jego i ofia-

ry, Toporeczycy mogli rozwiązanie upragnione przyspieszyć.

Żegota skłaniał mu się do stóp prawie, niżej niżby duma ziemianina dozwalała, ale zemsta gięła kark hardy. Zżymał się już, widząc pewną obojętność w biskupie. Był prawie pewien, że go otwartemi przyjmie rękami.

— Możemy—dodał—służyć W. Miłości nietylko na Ślązku ale w krakowskiem. Wynieśliśmy się, wyprzedali, to prawda, ale naszych tam dużo zostało, którzy trzymają z nami. Za księciem niewiele pociągnie

— W sandomierskiem — wtrącił drugi, który dotąd milczał—mieliśmy też kawał ziemi, i tam się swoi znajdują.

Biskup, którego niespodziewanie tak zaskoczyli ludzie, co się z nim okrutnie wprzód obeszli w drodze do Sieradza, nienfny ciągle spoglądał, słuchał, dumiał, łatwym się im nie chcąc okazać. Obawiał się i podejrzyswał ich o zdradę. Nalegali nań jednak tak uparcie, iż w końcu namyślać się zaczął, jaką z nich korzyść będzie mógł wyciągnąć. Nie byli oni do pogardzenia, jako pomocnicy. Ród był stary, z wielą innemi spowinowacony, zamożny bardzo, ludzie odważni, energiczni i doświadczeni. Taż sama zemsta, którą biskup pałał, sprowadziła ich do niego.

Żegota napraszał mu się usilnie, gdy Paweł ręką powiódł po plecach i rzekł doń.

— Jeszcze ja wasze postronki czuję na grzbiecie i rękach, kości mam dotąd potłuczone od wozu waszego a wybyście chcieli, abym w waszą przyjaźń uwierzył? Myślicie, że ja łatwo zapominam i przebaczam?

— Samibyśmy się z własnej woli nie wazyli na to — odparł Żegota. — Służy się panu, to się go słucha.

Marszezył się jeszcze biskup.

— Czekajcie — rzekł — nieśpieszcie. Niżeli ja wasze usługi przyjmę, lepiej was chcę poznać.

— Poznacie nas najlepiej — rzekł Toporeczyk — gdy teraz znown na dwór ks. Władysława do Opola zjedziecie. Przekonacie się, że my go dla was powolniejszym niż dotąd był uczynić potrafimy.

— I to słaby człek! — odparł Paweł w okno patrząc.

— Sam się on ważyć nie może na Bolesława, mówił Toporeczyk i dla tego się waha. Gdy mu posilki zapewnicie, pójdzie chętnie.

Żegota szukał na twarzy biskupa znaku jakiegoś pomyślniejszego usposobienia, w końcu nie znalazłszy go, zaczynał wątpić już o dobrym skutku swej próby, i dawszy bratu znak, zwolna się ku drzwiom cofać zaczął.

Ruch ten zobaczywszy biskup zrozumiał jego znaczenie.

Począł rozmyślać.

— Czekajcie! — zamruczał. Zna was kto z tegożniejszego mojego dworu?

Bracia naradzali się wzrokiem.

— Dotąd przynajmniej nie zdaje się aby nas poznano — odparł Żegota.

— Pozostańcież dłużej trochę — dodał biskup. Pomówimy z sobą jeszcze. Opowiadajcie o sobie, żeście Ślązacy, a nazwiska i rodu nie potrzebujecie głosić.

Pożegnał ich, na drzwi wskazując. Wyszli posłuszni.

Do wieczornego stołu wezwano Ślązaków.

Mówiono przy nich jak zawsze, otwarcie przeciw Bolesławowi i Leszkowi, czemu oni chętnie i gorąco dopomagali. Z mowy jednak łatwo poznać było można, że krakowskie i sandomierskie lepiej znali niż Ślązko i że wiedzieli na kogo tam rachować było można.

Dwa dni ich badając trzymał biskup, aż nareszcie odprawił.

Gotowano się do podróży na Śląsk, wyprawując posły w różne strony i odbierając wiadomości, które zewsząd przychodziły. Nadszedł wreszeie dzień wyjazdu i biskup wyruszył polując po drodze bez pytania w czyich lasach, wlokąc się zwolna, odpoczywając, zajeżdżając do plebanji i klasztorów po drodze.

Nie koniecznie pilnowano najbliższej drogi i zmierzano do celu, ks. Paweł zmieniał kierunek i jednego dnia znalazł się ze swym dworem pod murami Ligniey.

Tu go może pierwsze młodości wspomnienie przyprowadziło.

We wrotach miejskich się opowiedziawszy, posłał biskup na zamek do księcia Bolesława, który tu podówczas panował. Zwano dziwaka tego Łysym, drudzy Srogim, a lud pospolity przezywał go Rogaczem i Rogatką. W istocie rogata była to dusza, a bódl kogo mógł.

Od wjazdu do miasta poznawalo się jakie tu rządy być musiały. We wrotach ludzie licho zbrojni, napili, stali klóćąc się, szamocąc, i wykrzykując. W ulicach, pod domostwy dokazywalo bałaśliwie ciury i żołdactwo zamkowe. Po gospodach poroźtwieranych na pól, po łaźniach snula się gawieźdź zuchwala i przewodząca nad bezbronnemi mieszkańcami. Im się bardziej ku zamkowi zbliżali, tem tego oszarpanego, licho odzianego żołnierstwa więcej się zjawialo. Jedni dostatnich mieszczan przemocą na zamek ciągnęli, drudzy pospólstwu na skargę się eisnacemu, zabiegali drogę.

Ładu i posłuchu nie było widać nigdzie. a gdy ks. Paweł w miasto wjeżdżał, ludzie jego musieli się kupą trzymać i oteozyć go, tak ich zewsząd ciury ciekawe i napastliwe opadać i napierać zaczęły.

Groząc ciągle mieczami i oszezepami drogę sobie trzeba było torować.

Na zamku nie lepszy panował porządek. Kupy zbrojne leżały u stop przy opróżnionych beczkach,

w wielkiej sieni zamkowej straż dokazywała krwa-
wo, a komornik, który wyszedł na spotkanie w kaf-
tanie odartym, poplamionym. ledwie się trzymał na
nogach.

Ludzie biskupi, którzy też lubili sobie podocho-
cić, spoglądając na to uśmiechali się, nie bardzo
gniewni, że się tu dostali, choć na nich z ukosa
i ostro patrzano. Książę Rogatka na spotkanie nie
wychodził, choć duchownemu pewne się należały
względy, napily tylko sługa, z sieni biskupa ofiaro-
wał się wewnątrz prowadzić.

Izb na zamku dosyć było i dosyć przestron-
nych. Dolne, sklepienie z kamienia, niskie, gdyby
były utrzymywane jak należy, książęcami wydawać
mogły. Teraz one przypominały gospodę.

W pierwszych, jak w podwórzu pełno było
gwaru dworu czeladzi, służby oszarpanej, odartej,
pół bosej, brudnej, jak ten co biskupa przeprowa-
dzał. Jedni leżeli na ziemi, drudzy na ławach, byli
tacy, co na stoły powłaziwszy powyciągali się na
nich wygodnie, nogi zadzierając do góry. Czuć było
po izbach dym, piwo i lichą jakąś strawę kwaśną,
której woń w powietrzu pozostała.

Napily ów dwór mało co biskupowi z drogi
ustępował.

W drugiej izbie okazańszej już nieco, żołdacy
kości rzucali, spierając się o uie zjadle i pięści ku
sobie wyciągając, jakby się za włosy porwać chcieli.

Oglądał się biskup rychło-li się do księcia do-
stanie, ale wiedzący go ciągle naprzód jeszcze uka-
zywał. Przeszli znowu zimną i pustą izbę, wschod-
ki małe ku górze prowadzące, komornik do drzwi
zapukał i sam z drogi ustąpiwszy wpuścił biskupa.
Komora była nie mała, ogniem w kominię płonącym
oświecona.

Nim mu drzwi otworzono, Paweł słyszał już
z niej gędbę jakąś i śpiew, przerywany grubym,
donośnym, krótko wybuchającym śmiechem.

W głębi izby na łożu coś leżało ogromnego. Kądlub bezkształtny, po nad którym duża głowa łysa sterczała, w tej chwili ciekawie podniesiona, z usty otwartemi, oczyma dużemi na wierzch wysadzonemi. Szyja odkryta, gruba, ręce ogromne jakby napuchłe, suknia niepozapinana, skóra jakaś na nogach poszarpana, wszystko razem niby jedną górę na łożu składało.

Tuż na ławie z poręczem, rozparta siedziała nogę na nogę założywszy niewiasta lat średnich biała, rumiana, do zbytku już okrągła, z wzrokiem zuchwałym i bezwstydym. Blizką była głowy lysej, a gdy biskup wchodził śmiała się właśnie, usta otworzywszy szeroko.

Miała na sobie suknię jedwabną drogą, i dosyć różnych klejnotów, które naówczas do stroju kobiecego należały, ale wszystko na niej leżało i wisiało jak narzucone bez myśli i troski żadnej. Nie dbała o to co na sobie miała. Włosy na głowie rozplątane były i lada jako pokręcone, powiązane od niechcenia. Zbyt rumiane policzki i płonące oczy, kazały się domyślać, że do dzbanka, który stał na laweczce z kubkami między nią a księciem, musiała razem z nim zaglądać.

Książę Rogatka twarz miał zdumioną, ale się na niej jeszcze niedawno goszcząca wesołość nie starła. Gość, ktobykolwiek był, nie miłym mu się stawał, w tak dobrej godzinie wieczornej.

Przy płonącym kominie na stołeczku niskim, z gęsłą w rękę siedział człowieczek dosyć porządnie odziany, z twarzą krągłą a prawie kwadratową, czołem niskim, wypukłym, usty szerokimi, nosem małym i zadartym, oblicza śmiałego, jakie przystało ulubieńcowi, który wie, że się bez niego obejść nie może pan.

Brzdąkał on po gęśli i śpiewał półgłosem, który niekiedy silniej podnosił z przesadzonym wyrazem wielkiego uczucia.

Dana moja dana...
Jak jabłko rumiana...
Biała jak lilija.
W złotych kosach szyja...
W złotym rąbku głowa...
Siedzi jak królowa
Dojrzała jagoda...
Nasza pani młoda..

Spostrzegłszy wchodzącego biskupa, grajek się do księcia zwrócił, spojrział, trochę zatrzymał. Leżący na łożu, bełkocząc, prędko, niewyraźnie, gniewnie wykrzyknął:

— Dalej, biesów synul dalej!

Grajek już tylko po strunach pobrzękiwał, ale głosu mu jakoś czy piosenki zabrakło. Niewiasta też u łoża siedząca zarumieniła się trochę i zmięszała, ale podniosła główkę dumnie, spojrziała na pana swego i powitawszy biskupa, który szedł zwolna ku łożu się zbliżając, pozostała na swoim miejscu nieruchoma.

Rogatka wpatrywał się w ks. Pawła, który niezwykajnym widokiem takiego księcia nie zdawał się ani zdziwiony ni zgorszony.

Grajka jakby nie słyszał, niewiasty jakby nie widział.

Dla zbliżającego się gościa, książę trochę się na łożu poruszył. Nie było go na czem posadzić.

Książę uderzył w szerokie dłonie, dwóch chłopaków bosych, wpadło w pół-kożuszkach. Rogatka gniewnie im coś, prędko nakazał, ale pluł tak mówiąc, pryskał, sykał, bełkotał, że chyba służba własna mogła go zrozumieć. Chłopcy naprzeciw łoża postavili ławkę, narzucili coś na nią podobnego do podartej poduszki i biskup ruchem ręki wezwany, usiadł nie patrząc na niewiastę, ciekawie mierzając go oczyma.

Od niejakiego czasu począł on je wszystkie nienawidzieć, bo mu każda nieszczęsną Bietę przypominała. Wstręt miał do nich i obawę.

Książę, który koniecznie chciał zwrócić uwagę przybyłego na rumianą swą przyjaciółkę, wskazał na nią ręką.

— Miła moja! Sonka! Sonka! miła! patrzajcież! A co? he?

Biskup spojrział. Sonka się rozśmiała, Rogatka uradował.

— A ty trutniu, graj!—krzyknął do siedzącego u komina. Twoja psia powinność, dzień i noc. My gadamy, graj...

Grajek, którego Żabką zwaną, począł zaraz po-brzękiwać z cicha, starając się wielką swą biegłość pokazać. Sonka półgłosem mu wtórowała wcale się o biskupa nie troszcząc.

— A wy tu... tu... co u licha robicie? — zaszepleniał Rogatka.

— Po drodze chciałem się Miłości Waszej pokłonić—odparł Paweł.

— Moja miłość nędzna—zaśmiał się prędko bełkocząc Rogatka, licha warta miłość moja! Grzywien w skarbcu niema, beczki mi ta gawieź powysuszała. chleba pożyczam, mięso rzeźnicy dają śmierdzące... Cała pociecha... ot... o!

Wskazał na Sonkę, która się pyszniła i śmiała.

— I oto ten niezdara Żaba!

Ręką na grajka zmierzył.

— Śpiewaj, bydle jakieś!

Grajek silniej w struny uderzył.

— Śpiewaj tę... o malinie, dziewczynie—biskup jej nie posłyszysz chyba od ciebie, a ładna...

Począł się śmiać.

— E! ty biskupie — dodał — ty bo także baby lubisz! He! he! ktoby tych zwodnic nie lubił, kiedy takie jak moja miła! Patrz, ta wiedźma toby mnie i do piekła poprowadziła, gdyby chciała.

Wiedźma pokazała białe zęby i zwyczajko głowę unosiła do góry.

— A u... u was? co? — zaszepleniał Rogatka. —

Znowu was Bołko do kuny zapakuje, czy nie? He? he?
Ty tegi człek! Biskup nie biskup! ja cię kocham!

Wtem oko na dno dzbanu zapuścił, był próżny.
Świsnął, usta w trąbkę zwinąwszy, przeraźliwie.
Chłopaki wbiegły.

Rogatka dzbanem cisnął o podłogę ze złością.

— Miodu! bo pozabijam! Wina! wina! kubków.

Hej! srebrnego dla biskupa!

Sonka dała znak jakiś.

— Co? niema? srebrnego? Gdzie? w zastawie?
u żyda? Patrzajże! Ziemie muszę zastawiać, kubki
i misy u Izraela! Suknie też poszły! het! Goly będą
chodził! boso, pieszo! Taki świat! Pozabijałbym
wszystkich.

E! wojna! wojenka! niema jak ona! Trzeba na
wojnę ciągnąć! prawda! Lup będzie... pożywim się.

Biskup słuchał.

— A ty graj, psia wiaro!—krzyknął do Żabki.
i grajek natychmiast silniej w struny uderzył.

Kobieta widząc go w tak rozpasanym humo-
rze, śmiała się, białą ręką przytulając mu usta. Śmiał
się i grajek pół nucąc, pół pychając.

Chłopców z nakazanem miodem i winem nie-
było, książę zniecierpliwiony świsnął znowu i kub-
kiem, który pod ręką miał cisnął o drzwi.

Odarty komornik, który na wierzch łachmanów,
wdział naprędce zbyt krótką suknię cudzą, wtoczył
się ze dzbanem, podjął rzucony kubek z ziemi, otarł
go o brudną połę, przystąpił z powagą do księcia
i wszystko to na ławie rozstawił.

Rogatka nalał ręką trzęsącą się kubek, rozlewa-
jąc po ławie, i podał go biskupowi, który przyjął.

— He! wojna! wojenka—mówił śpiesznie, ciągle
jąkając się i pluając, a co słowo popijając Rogatka.
Wojenka! dobra rzecz! Te łotry mają Wrocław, Opo-
le, a mnie wyposażyli tą nędznicą, Lignicą. A tu
żyć nie ma z czego! Kawalkami ziemię kraję i sprze-
dają.

Splunął piśc podnosząc.

— E! nie koniec między nami! Ja tych miłych bratanków schwycę i posadzę tak! posadzę.—Zaczaję się, pobiorę, muszą mi moję ziemię oddać i grzywny zapłacić. U mnie w komorze pusto, u nich tlnsto!

Wtem jakby zmiarkował, że do zbytku się wygadał, uśmiechnął się do biskupa.

— A wy? co wy na to?

— Ja?—cóż mam was uczyć? — odparł ks. Paweł. Ziem! Moglibyście gdzieindziej szukać nie koniecznie na Słazku.

Odechrząknął znacząco.

Łysy zrozumiał. Wtem Żabka, który z każdej chwili korzystał by wypocząć, grać przestał, książę się rozgniewał.

— Żabo! ty! skrzecz, bo ubiję! a wesoło! To twoja powinność!

Gęśla się zaraz odezwała.

— U mnie tak! — zawołał pijąc Rogatka.—Bez baby i bez gędzby umarłbym. Gdy baba przy mnie, grajek za mną, choćby o suchym chlebie — w duszy ciepło.

Wyciągnął rękę do biskupa.

— Prawda! Bołka i Leszka wy nie lubicie? Śmierdzą wam? Sądza!i was do kuny?—Daj mi łapę! ja ich też nie cierpię! Rodzili się na mnichów. — He! Bołko żonę ma, a nie mu po niej? Leszek swoją wypędził, czy ona jego? Weź ich do klasztoru, niech litanję śpiewają!

Biskup się rozśmiał, a Rogatka mrugał doń oczyma.

— Ja wiem co ty myślisz? — rzekł! — Ty mnie chcesz ciągnąć na nich? Ojcie mój! nie pora jeszcze, muszę się wprzód z moimi rozprawić. Słazk umieść czysto, żeby... he! he! śmiecia nie było! Het! wyżenę, wyczyszczę! Nie należy im nic, wszystko moje! Wrocław, Opole. Potem pójde na Kraków.

— Długo na to czekać!—bąknął Paweł.

— Byłem gdzie grzywien dostał — zawołał Rogatka—bom goły! Ziemi już w zastaw poszło dużo. Chyba biskupa którego naduszę.—Śmiał się do Sonki.

— Grzywny wszystkie u was się pochowały! Wiem, wiem!

— Ale nie u mnie—rzekł Paweł.

Te łotry, żołdactwo, Sasy, Szwaby, Franki co ich najmniej—ciągnął pijąc Rogatka—objadają, piją i łupią mnie strasznie. Daj a daj! Wieszam, gdy krzyczą, trudno wszystkich wytracić.

A piją!

Tu sam z kubka pociągnął.

Gdy tak rozmawiali, Żabka siedzący u ognia brząkał coraz ciszej, zmęczony głowę chylił na jedno to na drugie ramię i drzemać zaczynał. Palce trzymał na strunach gotowe, ale bezsilne. Niewiasta też oparłszy się o stół niezważając na gościa, zmęczona usnęła mocno.

Rogatka zobaczywszy to, wskazał na nią biskupowi. Spiąc i niezważając na siebie, trochę się sukni z ramion zsunąć dała i białą szyję a piersi widać było nie okryte.

Rogatka do ucha jej huknął, aż przestraszona rzuciła się i krzyknęła. Rozbudzony grajek w struny z całych sił uderzył, aż mu jedna pękła.

Jeżeli miał myśl jaką biskup, jadąc tu, pozyskać pomoc Łysego, zbliżyć się mu przypatrzysz wyrzec się jej musiał. Nie było tu co z nim poczynać.

Nieład i niedostatek były aż nadto widoczne. Popędliwy Rogatka mógł się na jaki krok zuchwały ważyć z rozpacz, ale na jego dobrą wiarę, słowo, rozum, liczyć nie było można.

Dłużej nie miał tu co robić ks. Paweł i byłby zaraz go pożegnał, lecz Łysy spostrzegłszy ruch, z którego się domyślał, że chce odchodzić, ruszył się świszcząc i wołając:

Chłopy z komornikiem wpadli na to hasło.

— Wieczerza! jeść! a żywot!

Starszy, który z tyłu za biskupem stał, głową potrząsł i ręce rozstawiając dał znak księciu, że na wieczorne jadło nie wiele rachować było można.

Rogatka tego zrozumieć niechciał.

— Słyszysz Tomisz!—zawołał—idź do Michalika na podzamecz. do tego juchy mieszczanina, który bogatszy jest odemnie. Nażarł się on dość. Dzieściu knechtów weź! Ja każe! Wieczerze on pewnie ma i dobrą, co dzień psubrat ucztuje, a ja będę głodem marł? Z misami mu pobrać wszystko i tu dawać! Zechce bronić, związać go i do lochu!

Tak obmyśliwszy wieczerzę, Rogatka westchnął, do grajka się zwracając.

— Graj że mi wesoło i piej! — Potem na swą Sonkę spojrział i uśmiechnął się.

Biskup siedział namarszczony, niewiedząc już co czynić. Łysy znowu zabrał głos i gorąco zaczął rozprawiać. Im mu się więcej plątał język, tem zjadlej nim szermował.

— E! e! gdyby Bolko mnie na moich pomógł, zdusić ich, Wrocław i Opole odebrać—wołał—dopiero bym ja na niego poszedł! Tak by było najlepiej. Kraków, Sandomierz, Kalisz, Poznań, Płock... wszystko potem w jedną garść. Dopieroby się zagrało i zaśpiewało. Dana! dana!

Zaba uie zrozumiawszy o czem była mowa, gdy danę pozłyszał, strunami wstrząsnął i huknął po niemiecku głośno.

Tymczasem Rogatce do głowy coś przyszło, do biskupa się nagiął sapiąc i rzekł:

— U ciebie w komorze grzywny są? Ej! są! Ty dobry człek! Tysiąc mi pożycz.

Paweł ruszył tylko ramionami.

— Daj pięćset!

Biskup ręce rozłożył.

— A dwieście?

— Ja zamożnym nie jestem — odezwał się Paweł — bojąc się mego Bolka, ludzi muszę trzymać dużo, a ludzie jedzą.

— A mnie? moje niemcy! Zobacz ich co tego jest! — wołał Rogatka. — Żrą a chlepią, strach! Przychodzi to gołe, bose; nie nastarczyć opończy i obuwia. Daj ty mi choć grzywien dwieście.

Zadumał się Rogatka.

— Wiesz! — dodał pół żartem. — Jak nie, każałbym się tu zaraz wziąć i do lochu zasadzić! i mogę trzymać, aż dasz tysiąc! Twój Bolko cię nie poratuje, a interdyktu ja się nie boję! — Zerknął okiem, po twarzy biskupa przemknął się cień niepokoju.

— Jakby na was kłatwę rzucono, ludzieby odbiegli — rzekł Paweł.

— Oni? — rozśmiał się Lysy. — To Niemcy, oni polskiej kłatwy nie rozumieją! ale nie bój się, nie ci nie zrobię, tyś potrzebny. Macisz wodę, my w niej może złowim rybę!

— Daj po dobrej woli pięćdziesiąt!

Paweł z przymusem się śmiechał!

W podróży ja z sobą srebra nie wożę — rzekł — łecz byś książę wiedział, że mu dobrze życzę. co mam z sobą, dziesięć każę odliczyć!

Oczy zabłysły Rogatce, wyciągnął rękę.

— Jak się kanclerz prześpi, bo go spoili, każę ci napisać... he? chcesz? lasu jaki kawałek?

Biskup głową skłonił obojętnie.

— Nic nie chcę — odparł — a proszę abyś mi książę sprzyjał i był życzliwym. Gdy drudzy iść będą... możesz pójść z ludźmi swemi — dodał z naciskiem — pożywiecie się przytem.

W czasie tych szeptów za drzwiami hałas powstał okrątny, szamotał się tam ktoś i krzyczał, słychać było wołania żołdaków i śmiechy.

Do drzwi dobijać się zaczęto i otwarły się z trzaskiem. Ani książę, ni Sonka, ni grajek, nawykli pe-

wnie do przygód podobnych, najmniejszego nie okazali zdziwienia.

W progu stał postronkiem za szyję ulapiony człowiek lat średnich. z brudką postrzyżoną. ubrany bardzo dostatnio, wrzący gniewem i oburzeniem. Był to Michalik, któremu wieszczę zabrano i jego z nią razem. Za nim widać było ludzi ze śmiechem niosących misy i dzbanki, do których zaglądali po drodze.

Michalik krzyczał i lajał.

— Michalik, myś ty ruda! — zawołał książę pięścią bijąc o ławę. — Milcz mi, nie zawódź. bo cię na bancie obwiesić każę. Idź, pocałuj panią Sonkę w rękę; siadaj razem z nami do wieszczę, pal cię kat! Będiesz z księciem i biskupem jadł! Warto coś! Żabo graj!

Michalikowi jęczącemu popuszczono sznura, chłopcy już stół stawili. Żaba grał z całych sił, a niewiasta wstawszy. poprawiła włosy. przypatrując się biskupowi.

Rogatka też z łóżka się podniósł, na pół odziany, w kożusku na golem ciele bez gźla i w lichej reszcie odzieży. Posadził biskupa do stołu, sam koło niego zabrał miejsce, Sonkę w pół objawszy przysunął ku sobie, cmoknąwszy ją głośno, na ostatek i Michalikowi trzymającemu się zdala, rozkazał się przysiąść do stołu.

Podano ową złupioną na podzamczu wieszczę, i grajek w nadziei napoju i ochłapa, odchrząkując, zawiódł pieśń księciu ulubioną, o dziewczynie malinie.

II.

Czerwiec był, rok jak mało, który gorący się zwiastował, zawczasu piekl, snszył i skwarzył. Na polach zboża żółknąć zaczynały, miejscami i w wodopojach braknąć poczynąło wody.

Lata bo były od kilkun już, niezwykle ostre w zimie, śnieżne, a znaki na niebie nie dobrego na ziemi nie przepowiadały. Ludzie widywali często to dwa krwawe słońca, to w nocy gwiazdę różgę wlokącą za sobą, która nie innego nad chłostę Bożą wróżyć nie mogła.

Nocami niekiedy jak deszcz ognisty sypały się gwiazdy padające, to znów od północy gorzały luny, jakby tam kędyś szmat ziemi się zapalił.

Wichry wywalały lasy, indziej smok powietrzny wypiwszy staw lub jezioro zalal pola niemi i ryby na drzewach powieszał. Rzeki jak pijane z brzegów wychodziły, w styczniu robiło się ciepło, w maju się mród przybłąkał, który wszystkie warzywo powarzył. Potem w czerwcu paliło już jakby lipiec się miał do końca.

Nie wiodło się też dobrze w księstwach tych, co niegdyś jedno wielkie stanowiły królestwo, teraz podarte na szmaty, poszły na łup to niemcom, to panom różnym, jak Opawa, którą sobie czeski Przemysł przywłaszczył, a powrócić jej Bolesławowi nie chciał. Godzili się o nią i zgodzić nie mogli.

I gdy Bolko krakowski tą Opawą był zajęty, na niego się zamach gotował, do którego dawno biskup Paweł podwaliny zakładał.

W Krakowie go już nie widywano nigdy, siedział teraz na Słazku u księcia Władysława, którego

ludził tem, że mu Kraków i Sandomierz da, a z niemi wierzchnią władzę.

Władysław, choć niepodobny był do Rogatki, dał się na łep wziąć, gdy do biskupa ujrzał przybywających gromadnie ziemian z Krakowa i Sandomierza.

Tych Toporezycy najwięcej przywiedli i pozyskali.

Wszystko już tak ułożonem było aby wybuch jawny rychło nastąpił. W Krakowie też wiedziano co grozi.

Resztką ludzi wiernych, która przy Bolesławie stała, biskupa znowu pochwycić chciała jako pierwszą przyczynę niepokoju, ale Paweł w Opolu siedział i z pod księcia Władysława się nie ruszał.

Na zamku w Opolu od dawna niepamiętny ruch był i krzątania, nigdy się tam wojenno nie przysposobiano jak teraz. Ani czasu napadów tatarskich tyle się tu ludu nie ściągало, ani dwór rycerski kiedy był tak liczny.

Dnia tego biskup Paweł nie swoim zwyczajem po świecku i przy orężu, ale w szatach uroczystych, z orszakiem duchownych przy księciu Władysławie się znajdował.

Świątecznie wszystko przybranem było na zamku, strażę pokładły najpiękniejsze zbroje, dwór przywdział szaty najokazalsze. Sam książę Władysław, który jak inni książęta, po niemiecku się nosił, wystąpił cały w łańcuchach, klejnotach i jedwabiach, czekając obiecanych mu gości.

Co chwila przybywali gońcy na zamek, zwiastując coś nowego. W izbie wielkiej gościnnej siedział książę Władysław, mino wszystkich tych przygotowań niezbyt wesoły. Biskupowi twarz promieniała.

— Wasza Miłość—mówił do księcia—malo nasz, widzę w nas wiary. Jąc przecie nie darmo długie nad tem pracuję lata, abym te książątka powygaśniał. Obudziło się stare rycerstwo krakowskie, co dawniej sadzało i zrzucało swych panów i pójdzie

z nami. Bołko nikogo za sobą mieć nie będzie, odstąpią go, panowanie skończone.

Książę Władysław, średnich lat, młodo jeszcze i rycersko wyglądający mężczyzna, dosyć pięknej twarzy, która wielkiej bystrości umysłu nie zuamionowała, ale męstwo i siłę — z wolna zwrócił się ku biskupowi.

— Daj Boże, aby się stało jak przepowiadacie — odezwał się — moi ludzie nie zupełnie to potwierdzają. Mówią mi, że Bołko ma znaczną część ziemian z sobą i za sobą. Zawczasu się dopilnował! Nie pójdzie nam tak łatwo jak sądzicie.

— Alboż władzę i ziemię łatwo się kiedy zdobywa? — zawołał biskup. — Jużci więcej nad to żądać nie można, gdy wam znaczna część ziemian sama tu przyniesie swe głowy i posłuszeństwo zaprzysięże!

Rozśmiał się biskup dumnie.

— Nie chwałąc się — rzekł — Wasza Miłość winni to będziecie Pawłowi z Przemankowa!

— Wiem, i potrafię mu to zawdzięczyć — odpart książę z lekką oznaką niezadowolenia.

Książę rad był pewnie temu co go spotykało, ale sromił się nieco, iż z rąk niezbyt czystych miał to otrzymać.

Stał książę Opolski w oknie, biskup uchem łowca rozeznającego szelest najmniejszy, chwycił daleki tentent koni i porwał się wyjrzeć.

Na drodze ku zamkowi wiodącej widać już było długo wyciągnięty szereg jezdnych, w uroczystym pochodzie postępujących ku wrotom.

Pobladał nieco książę Władysław, a paniętny pobożności swojego rodu, ręką nieco drżącą przeżegnał się.

Widok z okna był wspaniały.

Jechali przodem konno dostojnicy krakowscy i sandomierscy, kasztelanowie i wojewoda, ludzie już osiwiali, ale krzepko się, mimo lat, trzymający; wszyscy we zbrojach, w hełmach, konie w oponach, miecze

jasne u boków. Za nimi ziemiaństwo strojne i zbrojne, dalej dwory ich orężne. Jak okiem zajrzeć zwi-
jało się to węzem po gościńcu, niby wojsko do boju
ciągnące. Kilka tysięcy ludu wiedli z sobą.

Biskup z dumą spoglądał, było to dzieło jego.
Mimowoli usta zamruczały. Mówił sam do siebie.

— Chciałeś mnie wrzucić do więzienia! Ja cię
poślę na wygnanie. Do Węgier, do teścia, na łaska-
wy chleb, pobożny panie!

Śmiał się szydersko i dumnie, zwycięztwa był
pewnym.

Wtem, nim jeszcze ów orszak wspaniały do wrót
się zbliżył, biskup, który sam w drugim oknie stał
i oczy pał tym widokiem. ujrzał w podwórzu pod
sobą coś, co go raziło nagle i strwożyło.

Mimowolnie cofnął się krok w tył. Pod mu-
rem z podniesioną ku niemu głową stała niewiasta,
żebraczka czy pokutująca pątnica, w sukni czarnej
z szarzaną. Widać było z jej odzieży, podartego,
ledwie się na nogach trzymającego obuwia, z chust
podartych, że tylko co musiała długą, nużącą odbyć
drogę. Dyszała ze zmęczenia i chudą ręką uciska-
ła pierś podnoszącą się żywo. Z pod płachty, któ-
rą głowę miała przyrzuconą, wymykały się kosmyki
czarnych, poplątanych, nietkniętych dawno włosów,
na których pył osiadł. poczepiały się liście drzew
i gałązki.

Zobaczywszy ją Paweł cofnąć się chciał cał-
kiem z okna, lecz wstyd mu było przy księciu oka-
zać jakąś obawę. Pozostał więc, a niewiasta miała
czas podniósłszy oczy ku niemu, rękę wyciągnąć.
Śmiech jakby obłąkanej, wyrwał się z jej ust.

— Pobłogosław! przeżegnaj, — wołała. — Trupy
twoje jadą! Grzebać ich będziesz w sobotę! Skinęła
głową ku niemu.

Książę Władysław, który widział ją z drugie-
go okna, odezwał się do biskupa.

— Znacie tę żebraczkę?

— Z Krakowa być musi—niewiem!—rzekł Paweł, starając się okazać spokojnym.

Nim mieli czas więcej powiedzieć, znikło im z oczów to zjawisko, a we wrota wjeżdżali już posłowie ziemian Krakowa i Sandomierza.

Książę Władysław niespokojnym krokiem szedł do wielkiej izby, w której nań czekali duchowni, urzędnicy, dwór, rycerstwo, ksiądz Paweł szedł obok niego.

Uroczysta cisza panowała w sali pełnej około siedzenia przysposobionego dla księcia, pustej w drugiej połowie. Biskup wyszedł ku drzwiom na spotkanie Krakowian, gdyż on sam chciał ich prowadzić. Świeże owe proroctwo, trupy twoje jadą, choć je lekceważył, zatrulo mu słodycz tej chwili zwycięstwa. Gwałtownym wysiłkiem woli starał się wypogodzić czoło i uśmiechać swobodnie.

Krakowska starszyczna i ziemianie, których Torporczyki i biskup zdołali do tego kroku nakłonić namowy i obietnicami wielkimi, z dobrą myślą szli z początku, zdawało się im, że za sobą pociągną jeśli nie ogół, to co było najprzedniejszego.

Ostatnia chwila zmieniła położenie i zawiodła nadzieje. Gdy przyszło wybór czynić pomiędzy Bolkiem Wstydliwym a Opolskim księciem, którego ród znano jako chciwy panowania, burzliwej krwi, a niemieckiego obyczaju, zawahało się wielu. Niektórzy, co obiecywali się iść, cofnęli się później, inni skryli tak, że ich wyszukać nie było podobna, inni jawnie poprzeczowali do obozu Bolesława.

Cofnąć się pozostałym przy Opolczyku było już niepodobna; poszli więc do Opola, lecz przybywali tu znacznie mniej pewni zwycięstwa, z wątpliwością i niemal obawą o swe losy.

Biskup poznał to z ich twarzy. Na niektórych mimo powagi, pewien wstyd i zakłopotanie widać było. W progu trzej główni przewodzący, Świętosław, Racibor i Sambor zamienili z nim wejrzenia

znaczące, z których mógł wyczytać wielką o przyszłość troskę. Biskup musiał ich tem większem natężyć meztwem i otuchą.

Jako mówca pierwszy Świętosław wystąpił, maż okazały, poważny, siwiejący, żołnierz stary, lecz między swemi znany z tego, iż więcej twarzą i postawą obiecywał niż głowa starczyła. Biskup miał go zdawna w ręku.

Zbliżył się hełm zdjawszy, ów orator Krakowian aż ku książęcemu siedzeniu, spojrział na Władysława, pokłonił; lecz gdy mówić zacząć przyszło, dobrą chwilę musiał zbierać myśli, nim głos zabrał.

— Ziemianie Krakowa i Sandomierza, starzy ojczyce, przychodzimy do miłości Waszej, wezwać ją, abyś objął rządy nad nami.

Było zawsze ziem tych prawem iż rycerstwo i duchowieństwo pana sobie wybierało. Teraźniejszy nasz pan. Bolko, bez naszej wiedzy i woli naznaaczył sobie następcą Leszka, a my go mieć nie chcemy nad sobą. Nie jesteśmy niewolni. aby nas oddawano bez pytania. Wolemy miłość Waszą dla sąsiedztwa i połączenia tych ziem z naszymi, zkaż nam większa przyrośnię siła.

Wyjąkał to Świętosław przerywanym głosem, a za nim wszystka starszyzna przybyła, zaczęła potwierdzać słowa jego, wołając.

— Tak jest! Chcemy mieć Miłość Waszą nad nami!

— Ja zaś jako duchowna głowa tych ziem błogostawie postanowieniu temu i razem z niemi księcia na stolicę powołuję.

Ozwał się okrzyk ale słaby i pomiczany.

Książę Władysław, który czuł dobrze, iż porwijąc się na Kraków wiele waży; spodziewał się więcej ochoty i zapалу po przybyłych. Uderzyło go wahanie się ich i obawa jakaś przy ofiarowaniu mu księstwa, do którego innego prawa nie miał nad to, jakie mu oni przynosili

— Niech się stanie jak żądacie, odpowiedział po chwili. Nie tajno wam, iż ja sprawę waszą przyjmując za własną, trud, krew i to co mam, muszę poświęcić, Kraków zdobywać potrzeba. Słuszną więc jest, abyscie mi wierność poprzysięgli, i spisali na karcie dla wiekuistej pamięci postanowienie wasze.

Kancelarz biskupi stojący też z gotowym pergaminem, rozwinął go i podniósł w rękę do góry.

Nikt się nie sprzeciwiał. Biskup Paweł pośpiesznie krzyż i księgę ująwszy, które mu podano, zstąpił pomiędzy ziemian i rotę przysięgi czytać zaczął.

Wszyscy podnieśli palce do góry, mrużano powtarzając za nim wyrazy, poczem kapelan ujął Ewangelię przez bogatą tkałnię, i poniósł ją przytomnym do pocałowania. W czasie tego obrzędu ciższa głęboka, smutna, złowroga panowała w sali. Nie widać było radości ani w tych co przysięgali, ani w panu, na którego korzyść zrzekano się dawnego.

— Pomnijcież—odezwał się książę wzruszony, głosem poważnym—iż przysięga wiąże nas zobowiązanie, a ślub to jest wieczyste.

Ziemianie stwierdzili to dość cichym głosem, bez wielkiego zapachu. Biskup jeden okazywał radość żywą i głośnie.

Gdy się to skończyło, wstał książę Władysław z siedzenia i sam przystąpił do starszych z łaskawemi słowy, oświadczając się im z dobrą wolą swą. Trochę mu z piersi spadło ciężaru, twarz się rozjaśniała.

Stoły na przyjęcie mnogich gości już były zawczasu przygotowane, z izby więc ruszać się zaczęli, rozpraszając się różnie, bo starszyzna tylko z księciem i biskupem mogła pozostać, reszta zaś w podwórzu, a czeladzie na podzamczu i w mieście przyjmowane być miały.

Uroczysty ów obrzęd zatruty był już w początku niewysłowioną jakąś tęsknicą, czoła nie mogły

się rozpogodzić, i u książęcego stołu długiego czasu było potrzeba, nim się usta porozwιάzywały.

Przy biskupie posadzony Świętosław Włodzimierz, który mówił pierwszy. odczuwał się dość bardzo cicho.

— Błogosławcie, ojcze. sprawę naszą i swoją, a proście Pana Boga za nią, bo trudna się ona obiecuje!

Biskup odparł mu surowym wzrokiem.

— Zła to rzecz gdy się od zwątpienia poczyną— rzekł gniewnie.— Ani chcę słuchać takiej mowy! Co się stać powinno to się dokona, to się musi zrobić!

Świętosław łaniać chleb patrzył nań.

— Dużo ludzi nas zawiodło — odparł półgłosem.— Bolko nam odciągnął wielu! o wielu!

Uniósł się biskup.

— Tych co swoich odstąpili! zdrajców! — krzyknął wszystkich pod miecz! nie darujemy nikomu.

Gorączkowo ciągnął dalej.

— Obejdziemy się bez tych. Zwyciężym sami. Siła nasza i pocziwa sprawa przemoże. Przec musi iść Bolko ze swym Leszkiem. Nie wystąpi przeciw nam. a jeżeli się odważy, na miazgę go zgnieciemy.

Umilkł Świętosław.

— Dużo krwi się przeleje! — przebaknął zadumany.

— Tem lepiej, zlej krwi upuścić trzeba, aby ciało wyzdrowiało — odparł Paweł.

Rozmawiali, a książę Władysław rozpytywał Racibora o sily jakie mu z sobą przyprowadzili, gdy Żegota Toporezyk wysłany przez ks. Pawła dla dostania języka, zjawił się z powrotem w progu. Wehodził jak z konia zsiadł, cały upłony, zmęczony, ze skronią potem oblaną, z czołem namarszczonem.

Paweł zobaczył go, podniósł się nieco, dając mu znak aby się ku niemu przybliżył. Zjawienie się Żegoty wszystkich w niepokój wprawiło, z oblicza mu czytali, że coś z sobą niedobrego przynosił.

Nim miał czas się odezwać, biskup szepnął mu pośpiesznie.

— Serca nie psuj! złego, jeśli masz, nie głoś!
Postuluszny Toporeczyk w tył się cofnął milczą-
cy. Badano go ze wszech stron oczyma. Nie mówił
nie wprawdzie, lecz nie mógł twarzy zasępionej
odmienić

Było w niej coś groźnego.

Choć nalewano a wzywano do picia, choć Ślą-
zaków kilku chodziło po stołach zagrzewając do we-
szości, widok tego posta odejmował ją wszystkim.
Spojrzawszy nań ostygał każdy.

Ks. Pawłowi udało się kilku rozruszać, rozmo-
wa wszczęła się żywsza, a gdy ludzie od miodu
i wina trochę oszołomieli, biskup wstał z miejsca
swego, poszedł do księcia naprzód, zbliżył się po-
tem do kilku, tu i owdzie coś rubasznego podszeptu-
jąc. W ostatku na Żegotę skinął i wywiódł go nie-
znacznie do komory bocznej.

Sam był też niespokojny, wyjście jego drugich
też poruszyło. oglądano się na drzwi.

— Mówże, co tam tak zalało za skórę! — za-
wołał zniecierpliwiony. — Wy wszyscy niewieściuchy,
nie macie serca, traciecie od łada czego odwagę...

Co począć z ludźmi takimi!

Żegota wysłuchał cierpliwie.

— Ciągną przeciwko nam — rzekł sucho — ciągną
na nas, nim my mieliśmy czas wyruszyć.

Bolko, nie wiem, czyby miał po temu mężstwo,
ale Czarny niecierpliwy jest i mężny. nie ułęknie
się on nikogo! — Ciągną na nas! — powtórzył.

— Leszek! — zaśmiał się z przymusem biskup —
tyle wart co i tamten!

Obrócił się niecierpliwie.

— Ale gdzież oni są? ilu?

— Krakowscy nas zawiedli — odparł z goryczą
Żegota. — Moich własnych powinowatych dobra część
przy nich została.

Przyjdzie się bić, brat przeciw bratu, własną krew dać!

Oburzył się biskup.

— Własna krew! bracia! to cóż?—zawołał.—Albo to, gdy potrzeba, nie może iść brat przeciw bratu?

Ramionami zżyłmął.

— Gdybym rodzzonego miał—dodał—a stał mi na drodze!

Wyrwało mu się to z taką zajadłością, że Toporczyk cofnął się krok. Ks. Paweł zmienił głos.

— Gdzie oni są? ile ich jest?—zapytał.

— Więcej niż nas będzie.

— Ze Słazakami?—odparł Paweł.

— Daj Boże, aby ci się bić chcieli jak my i z nami razem—dodał Żegota.—Wiele oni serca nie mają! najemny lud!

Rady już innej niema — dokończył—jak wyruszyć przeciw nim zaraz, jutro, nie dając się zabrać w koję. Jutro! musimy w pole!

Ks. Paweł zmarszczony przystąpił doń grożąc.

— Milcz że mi ze strachami temi — syknął — milcz. Tak, jutro potrzeba w pole, ale nie z trwogą głupią co serce odbiera, ino z tą pewnością, iż zwyciężym. Musimy! Milcz!

Żawrócił się nie patrząc już na niego i poszedł do księcia.

Ze śmiechem na twarzy oparł się na poręczu jego krzesła, szepnął coś i wyprowadził go z sobą.

Gdy się owo uctowanie nad wieczorem skończyło, a przybyli ziemianie sądzili, że tu sobie spocząć będą mogli pod opieką obronnego zamku opolskiego, o mroku zatrąbiono.

Rozkaz poszedł po pułkach wszystkich.

— Jutro w pole!

Słazkie posiłki nie były jeszcze gotowe, posłano w skok zbierać co w pobliżu stało. Krótka noc czerwcową starczyć musiała na pościąganie ich.

Czynnym był sam książę, Świętosław, Racibor,

ale nikt nad biskupa Pawła czynniejszym. On tu prawdziwym zdawał się wodzem, on był duszą wszystkiego.

Nie położył się do snu, światła gasić nie kazał. suknie tylko zmienił jakby się sam do pochodu i na koń gotował. Co chwila otwierały się drzwi posłańcom, wolano dowódców, dawano rozkazy.

Palila go gorączka. czuł, że się tu jego los miał rozstrzygać, ale nie stracił ducha, musiał go wlewać w drugich. Tymczasem wszystkie wysiłki jego i tych, których dla rozgrzewania ludzi rozsyłał po obozie, rozbijały się o jakieś trwożne przeczucia.

Jak dzień, oddziały niektóre już się z pod zamku ruszać zaczęły. Koń dla ks. Pawła stał gotowy. Słazaków mających posiłkować nie doczekano się. I to go nie powstrzymało. Ręczył, że Słazacy w drodze napędzą, naglił. w ostatku ofiarował się sam zostać w Opolu, aby przyspieszyć wyprawienie posiłków.

Książę Władysław zatrzymał się także. Cały zaś ten zastęp kilkotysięczny, który wczoraj przyniósł mu w ofierze dwie najpiękniejsze ziemie, ze dniem musiał iść w pole.

Z okna zamkowego biskup niespokojnie patrzył na wychodzących i obliczał ich oczyma. Siła na owe czasy dość była znaczna, ale szła bez tej wiary w siebie i zapалу co zwiastuje zwycięstwo. W milczeniu pułki się rozwijały, szły krokiem ciężkim, a gdy w dali znikły za tumanaami kurzawy, ks. Paweł padł na krzesło i dopiero uspokojony nieco, złamany bezsennością, powieki zmrznięte zmęczone.

Przed chwilą pełen ludu zamek Opolski, opustoszał nagle, stał się milczącym; mała garść tylko została z nim przy księciu, który coraz mniej okazywał ochoty wyjść naprzeciw nieprzyjaciela. Oczekiwał na pułki swoje.

Biskup za wojskiem ciągnąć nie mógł, a gdyby to chciał nawet uczynić, książę Opolski, który go

niemal jak zakładnika trzymał, nie byłby może puścił od siebie.

Cały ten dzień i następny upłynął w jakimś oczekiwaniu niespokojnem.

Paweł zaledwie mogąc wytrwać bez wieści, naglił ciągle o dostawanie języka, wyprawiał resztę sług jaka mu pozostała. Nie przychodziło nic do Świętosława.

W piątek do dnia po śnie jeszcze niespokojniejszym, biskup się z łoża porwał tak rozdrażniony tą ciszą złowrogą, która go otaczała, iż dłużej w miejscu usiedzieć nie mógł. Dworowi swemu kazał się sposobieć w drogę. Dokąd? nie dobrze wiedział sam. Do wstającego z łoża księcia, wszedł już w sukniach podróżnych.

— Wytrwać tu dłużej nie mogę—rzekl.—Książę, jeżeli chcesz, wstrzymać się możesz, ja na zwiady sam ruszę.

— Dokąd?

— W ślad za wojskiem—dodał biskup.—Żadna siła mnie tu już dłużej nie przykuje. Trzeba iść, trzeba ich gnać, zagrzewać, męztwa dodawać. Nie ma dowódców, jakich mieć chciałem. Wszystko w niwecz pójsć może!

Chciał coś rzec przeciwko temu książę, lecz Paweł nie dając mu się odezwać, wybuchnął.

— Muszę za nimi dażyć!

To mówiąc, zaledwie się pokłoniwszy, nachmurzony, zburzony, nie czekając odpowiedzi, wybiegł w dziedzińce, dosiadł konia, sługom dał znak i popędził klusem.

Książę Władysław wysłał za nim chcąc powstrzymać, gdy już biskup był w miasteczku. Zły i tak rozszokowany, iż ludzie własni zbliżyć się doń nie śmieli, popędził szlakiem, na którym ślady przechodu polskiego oddziału widać jeszcze było.

Zaledwie z południa skwar okrutny zmusił go

w lesie konia. zamordowanego prawie, zatrzymać. Sam on zsiadłszy rzucił się na ziemię. Jeść nie chciał nic, wina podać kazał i bez pamięci gasił nim pragnienie.

Zaledwie konie wytchnęły, wołał już, aby je podawano.

Kruk mu się chciał sprzeciwić, uderzył go obuszkim.

— Na koni!

Jak gdyby mu młodość powróciła, niezmęczony dosiadł drugiego wierzchowca i gnał dalej, z tym pośpiechem co rano. Pędził tak do samej nocy, aż w końcu koń pod ks. Pawłem, ciężkim i roztyłym, chwiać się zaczął i padł. Musiano stać w miejscu, gdzie ani wody ni schronienia nie było.

Lecz ks. Paweł z niczem się nie zwykł był rachować, nie słuchał nikogo, a gdy mu o przeszkodach jakich mówiono, kłął i lajał.

Czego chciał, stać się musiało.

Tym razem, choćby niejednego z ludzi z konia zsadził, żaden po takim drogi kawale nie poszedłby dalej, nie odpocząwszy. Biskupowi rozesłano wojłok pod drzewy, gdy burza, na którą się oddawna zbierało, a zdala się przechodzić bokiem, nagle z piorunami i straszną napadła ich ulewą.

Szalas z galęzi, choć ludzie sklečili naprędee, lala przezeń nawalnica, jak przetakiem. Biskup nie zdawał się nie czuć ni widzieć.

Pioruny sinem światłem ohlewały okolicę, patrzal osłupiałemi oczyma, czekając rychło-li znowu na koń sięść będzie można. Wieher i burza już ustawały, gdy w świetle błyskawic na drodze ujrzał biskup coś poruszającego się. Czarny ten cień zbliżał się ku jego obozowisku. Był to ktoś idący drogą, wiatr suknie jego unosił... i z głowy płachtę mu zrywał.

Biskup drgnął cały, przeczucie jakieś pierś mu przeszło. W każdym cieniu widział tego szatana co za nim pędził, co go prześladował.

Ludzie, którzy dla burzy nie spali, ujrzawszy to widmo, pewni, że upiór się im ukazał, spłoszeni kryli się w gąszcz i rozbiegali.

Biskup oczy miał wlepione w tę postać poruszającą się zwolna, która to nikła w ciemnościach, to jawiła się w błyskawicy, coraz bliżej a bliżej.

Stało widmo u skraju obozu.

Jeden z czeladzi, który ujść nie pośpieszył, leżał na ziemi.

Schyliło się nad nim i głosem ludzkim o coś spytało.

Biskup usłyszał krzyk, widmo przysunęło się bliżej jeszcze ku szalasowi.

W błyskawicy zobaczył przed sobą Bietę i przeżegnał się strwożony.

Stała przed nim, ręką wskazując poza siebie.

— Pod Bogueincem, krwawe pole! Szlam wam dobrą zwiastować nowinę. Oj lała się, lała ta krew, coście jej utoczyć chcieli

Padli wszyscy zdrajcy!

Biskup, którego pierwszy przestрах odszedł, podniósł się z ziemi.

— Kłamiesz, potworo niecua! klamiesz! — zakrzyczał.

Głos mu w gardle zamierał, zaczął wołać na Kruka, który widmo znane sobie zobaczywszy, do brze się zaszył w zarośle.

Śmiech rozległ się słaby. Bieta krótko przed szalasem powstała, rękę wyciągnęła na pożegnanie, poszła dalej.

Gdy jej już widać nie było, Kruk dopiero nadbiegł do biskupa, który nie mówiąc za co, zaczął go obuchem okładać.

Na wschodzie dzień zaczynało. Ksiądz Paweł wołał o konie, gdy na gościńcu ukazało się dwóch jeźdźców pędzących co sił, na pianą okrytych koniach.

Nim Kruk wybiegł ku nim, chcąc zatrzymać, przemknęli się i znikli.

Jechał jeden za niemi... pod którym koń padł i on z nim, a nie podniósł się już więcej.

Oba krwią okryci byli... a gdy Kruk zbliżył się, znalazł dwa drgające trupy.

Poznali w człowieku Raciborowego syna, mieczami zrąbanego, poprzeshywanego strzałami.

Oczy ku nim otwarł jeszcze, poruszył niemi i skonał.

III.

W nędznej chacie, na posłaniu z siana i słomy, ledwie wojłokami z koni zdjętemi pokrytem, w mroku, który niekiedy słabo rozświecał ogień zapomniany w drugim izby końcu, leżał Paweł, biskup krakowski.

Na ławach siedziało w milczeniu kilku ludzi z pozakładanemi na piersi rękami, ze zwieszonemi smutnie głowami, spoglądając ku łożu niespokojnie, na którym nie wypoczywał, ale męczył się mąż namiętności gwałtownych i nieposkromionego ducha.

Po rozbiciu pod Bogucinem Krakowian i Sandomierzan przez Bolesława i Leszka, Paweł z inuemi chciał szukać schronienia w Opolu. Przestрах go potem ogarnął jakiś, aby nie został wydany. Nie-dowierzał nikomu, nie chciał być na łasce nieczyjej. Wolał swobodny szukać schronienia, włóczyć się po lasach i dobrach kościelnych, niż zdać się Władysławowi Opolskiemu.

Zaraz po krwawym tym boju, w którym co najprzedniejsi, jak Świętosław i Racibor padli broniąc się rozpaczliwie, rozeszła się wieść o strasznej pomście, jaką Bolesław ścigał zdrajców, którzy przeciwko niemu z Opoleczykiem się sprzysięgli.

Szukano biskupa, pobranych w bitwie zamknięto w więzieniach, zbiegłym zabierano majątności, nie było przebaczenia dla nikogo.

Surowość ta niezgodną była z charakterem łagodnym Bolesława. Leszek Czarny zmuszał go do niej, żądali tego ci, co pozostali mu wierni. Trwoga chciano się zabezpieczyć od nowej zdrady.

Biskup blakając się przez dni kilkanaście, gdziekolwiek dostał języka, wszędzie mu jedno potwierdzono. Nie było przebaczenia dla nikogo. Wiedziano dobrze kto Opoleczyka namówił, kto ziemian do zdrady wciągnął, szukano sprawcy wszędzie, aby na nim się pomścić.

Obawa uwięzienia więcej może niż śmierci gnała biskupa, nie dając mu nigdzie spoczynku.

Lato skwarne nadchodziło, konie ze znużenia padały, ludzie wycieńczeni byli włoczęgą nocną i dzienną, głodem i bezsennością. Sam biskup wreszcie którego żelazną siłą podtrzymywał duch niespokojny, czuł się już po kilku niedzielach ucieczki i błakania się śmiertelnie znużonym i chorym. Miał gorączkę.

Lecz i w tym stanie podrażnienia nie zmienił się w nim człowiek, nie przebaczyłby był nikomu. Zemsta tylko potęgowała się w nim do wściekłości, bezsilny szukał środków zaspokojenia szalonych jak ona była. Ludzi wysłał na Litwę, aby pogan tłumy wciągnęły, zniszczeniem przynajmniej kraju podległego Bolesławowi i Leszkowi, odemścić za jego zawody.

Pocieszał się tem złoczynstwem. Z sobą nie wiedział co poczynać, przewidywał zdradę, lękał się jej, podejrzyszał przyjaciół, zmieniał codziennie miejsce pobytu. Wkradał się nocą, wyjeżdżał z rana, włókł się bez celu, a ci co mu towarzyszyli, nawykli do wybuchów gniewu jego, wytrzymać już nie mogli gwałtowności, z jaką rzucił się na nich. Bez najmniejszego powodu czasem krwawił i tłukł niewinnych.

Kilkoro czeladzi zbiegło mu z drogi, orszak się zmniejszał, biskup nie wiedział już dokąd się obrócić.

Pomimo tego rozpaczliwego położenia, wśród nocy bezsennych, w marzeniach pół snu, pół jawy, czynił nowe rachuby na przyszłość, nie zrzekając się nienawiści swej i pragnienia pomsty.

Leżąc w tej chatce wśród lasów, z której ludzie jego wygnali siłą biednego zagrodnika, biskup rzucał się, mrnczał, kłął, zrywał się; po kilkunastu dniach walki wewnętrznej z sobą, mimo starganych sił, pozostał takim, jakim go pierwsza wieść o porażec pod Bogucinem uczyniła.

Gdy się uspokoił na chwilę, a mimo woli sen skleił mu powieki, wyobrażenia dręczyła go obrazami zemsty upragnionej. Zrywał się z krzykiem i na jawie ciągnął je dalej.

Ludzie go już za pół oszalałego mieli. Kruk rozmyślał nad tem, co ma poczynać z nim, jeżeli zmysłów nie odzyszcze. Schronić się bezpiecznie nie było dokąd z obawy Bolesława, Leszka i więzienia, a dłuższa włóczęga po lasach i pustkowiach, stawała coraz cięższą. Duchowieństwo po parafjach, choć go szanowało jako swego pasterza, musiało żywić z dworem, ale w sercu nie bardzo było przychylne. Krakowscy kanonicy byli daleko, a i ci, którzy z nim trzymali, musieli się z tem tajić, aby na siebie posądzenia o współkę w zdradzie nie ściągnąć.

Smutno było w biednej chacie. Biskup jęczał i rzucał się na postaniu, służba siedziała milcząca. Niekiedy podrzucano nieco łuczywa dla światła, w izbie było parno, blask raził oczy Pawła, który ani w ciemnościach wytrwać nie mógł, ani przy świetle, bo i to go raziło.

Podawano mu wodę, której ledwie skosztowawszy odpychał. Jadło nie smakowało mu żadne.

Upokorzona duma zwiększała rozdrażnienie, czuł się opuszczonym, zdradzonym, bezsilnym, a nie wie-

dział do kogo się zwrócić o pomoc, bo podehlebców i pasożytów miał zawsze, przyjaciół nigdy.

Wśród chorobliwych marzeń i straszna postać prześladającej go Biety stawiała przed nim, którą spotykał wszędzie, gdzie się obrócił, ścigającą go zajadle, nie dającą spoczynku. Było coś szatańskie-go, nadludzkiego w tym uporze niewiasty biednej, przewidującej gdzie znaleźć go będzie mogła i zemstę swą mu przypomnieć. Prawica Boża z tej chorobliwej istoty czyniła narzędzie swej kary.

Trwogą zabiło mu serce, jak błyskawica po głowie prześliznęła się myśl—pokuty! zamknięcia na resztę życia w klasztorze, poświęcenia go na odkupienie swych błędów.

Ale nie wytrzymał z nią długo. Stał mu przed oczyma obraz Bolesława zwycięzkiego, Leszka urągającego mu się—wstrząsł się cały i pot zimny wystąpił mu na czoło.

— Nie czas jeszcze na pokutę! -wykrzyknął, zgrzytając zębami.

Myśli mściwc na nowo nim zawładły.

Przez całą noc trwała ta gorączka, któraby innego zabiła, a jego tylko uczyniła silniejszym przeciw losom. Zasnął nadedniem mając widzenie, że Litwa zalewała Leszka dziełnicę, że krew lała się za niego, przez niego.

Napił się krwi tej przez sen i pragnienie na czas krótki wargi mu palić przestało.

Dniało już na dworze, Paweł spał tym snem znużenia cielesnego, z którego się przebudzić trudno, gdy ludzie jego także uśpieni na ławach, w sieniach, na przyźbie, ocknęli się, wrzawę posłyszawszy. W mroku poranka dostrzegli nagle podwórko pełne koni i obcych ludzi. Pierwszą ich myślą było, że są ści-gani i rzucili się do oręża. Biskup Paweł zbudzony też chwycił za miecz, który zawsze leżał tuż przy nim. Zamieszanie się stało wielkie, krzyki, wołania wyrwały się z kątów, a że wśród mroku trudno się

było rozeznąć, jeden z czeładzi pobiegł zapalić łuczyło od węgla na ogniku i z niem wybiegł na próg chaty.

Tu stała gromadka zbrojnych ludzi, ale równie jak biskup wylekłych i wycieńczonych, w pancerzach połamanych, z orężem potłuczonym, bez hełmów, lub w takich, które się ledwie na głowach trzymały. Domyśleć się było można, iż to były zbiegi z bogucińskiego pobojuwiska, równie jak biskup, szukający gdzieś schronienia.

Zaczęto się wybadywać, rozglądać i ze strachu obie strony łatwo przyszły do zgody. Gromadka przybyła należała do Wierzei, ziemianina krakowskiego, który dał się podunówić Toporezykom i uszedłszy ranny z pola bitwy, włóczył się teraz w obawie więzienia. Ludzie biskupi nie taili przed nim, kto był w chacie.

Wierzeja był starym wygą, znanym szeroko z wichrzycielstwa i życia nieporządnego, jakie od młodości prowadził. Krępy, zsiadły, z głową okrągłą, dużą, włosiem zrudziałym pokrytą, z wargami zwisłemi, krwawemi, twarzą plamistą, popędlivością mógł się równać z biskupem.

Resztki ojcowizny postradawszy, nie wiedząc do kogo się przygarnąć, służył różnym, teraz dowiedziawszy się o biskupie, którego za przyczynę swojego ostatniego nieszczęścia uważał, szedł przynajmniej gorzkim słowem mu się wyplacić za gorzką dołę.

Nie pierwszy raz Wierzeja znajdował się w położeniu podobnem, bywał już i na wygnaniu w Czechach, i po Ślązku i na Rusi, a nawet u Brandeburczyków na Pomorzu.

Biskup nie wiedział jeszcze z kim i jak się miał rozprawić zaskoczony w chacie, trzymał obnażony miecz w ręku, gdy Wierzeja do izby się wtoczył, stanął naprzeciw łoża i począł mu się przypatrywać z pogardą.

— A! dostało ci się, stary ty!—zawołał—ha! na barłogu leżysz ty, coś się na miękich puchach z zakonnica wylegał Ty, za którego my krew leli i popadali!.. ty, węzu zjadliwy!

Paweł nie mogąc dłużej wytrwać, miecz podniósł oburącz i krzyknął:

— Precz, bo zabiję!

Wierzeja się nie cofnął.

— Patrzajże, że i ja mam stłuczone mieczysko n boku. Leż i nie rwij się, bo kto kogo zabije, nie wiadomo!

Zwrócił się od niego pogardliwie i obojętnie i zobaczywszy na stole kubki, jeden z nich podniósł, pokosztował, że w nim woda była, wypłunął ją i z krwią zimną począł rozpatrywać inne naczynie. Trafił w końcu na beczulkę z winem, nie pytając nalal go sobie, napił się i usiadł na opróżnionej ławie przy stole, na łokciu się podpierając.

Biskup tą zimną krwią człowieka zrozpaczonego tak był zdumiony, że z gniewu ochłonął.

— Nie mam już dokąd powracać, bo Wierzejce nie moje—zaczął mruczeć drab.— Książęcy nrzędnicy mnsieli je też, choć cudze, za mój grzech zabrać, a dzieccy spłodrowali! Czterech Zadorów ścięto! Sci-bor i Kacza w więzieniu, za szyję poprzykuwani. Ziemian pobraonych w Bogucicach, Leszek kazał jak psów na postronkach ciągnąć po zamkach i pakować do jam, do ciemnic... kilku dał męczyć.

A to wszystko przez was, przez ciebie! A coś-cie to nam obiecywali? Dobrze się ziściło! Twój Opolczyk pomagał nam, palcem kiwając na swoim zamku! Nas wydałście na rzeź, na jatki, bodajś ty z piekła nie wylazł!

Biskup warczał.

— Milcz, ty warchole jakiś!

— Co ja cię będę szczenił—mówił Wierzeja—za co? czyś ty wart najmniejszej litości!

Łajał jeszcze, gdy w podwórku znów szum po-

wstał, ale już dobry się dzień robił. Przywłókł się drugi ziemianin, także po lasach blakający się, wycieńczony, wyglodniały, beznówny prawie.

Był to Szala krakowianin też, człowiek biedny, którego powinowaci Toporezykowie z jego wiosczyny wywlekli. Ten przywłókł się ledwie żyw i z konia zląwszy, począł żebrać o chleb i wodę. Zdawał się nie dobrze rozumieć, eo doń mówiono, ślaniał się, był dwa dni bez pożywienia.

Kruk go przez litość do izby wprowadził, nie widział i nie poznał nikogo, na ławę padłszy, mdłał.

Przybysz ten przerwał kłótnię Wierzei z biskupem patrzali nań, ale żaden w pomoc mu nie myślał iść. Wszystkich własne położenie czyniło obojętnymi na cudzą dolę. Wierzeja nie dawno dosyć się trupów napatrzył, biskup na ludzkie męki nigdy czułym nie był.

Drugi ten przybłąda był tylko znakiem dla niego, że chata, do której się schronił, na jakimś przemyku leżała, gdzie łatwo i więcej zbiegów przybłąkać się mogło. Głosem więc niecierpliwym począł wołać na Kruka, aby konie gotowano. Chciał jechać ztąd precz.

Posłyszawszy to Wierzeja, z ławy wstał.

— Jedziesz ty, pojedę i ja z tobą razem... nie mam dokąd.

Kłutwą odpowiedział mu Paweł, ale tą niezrażony drab, nie ruszył krokiem. Za nim wyszedł w podwórko, i krzyknął na ludzi swych, aby też się sposobili.

Biskup nie zważał nań.

Odpędzić go nie miał siły, w walkę się z nim wdawać nie chciał.

Wierzeja zląawszy go, stał się łagodniejszym.

— Chcesz, nie chcesz, a wziąć mnie musisz— rzekł do niego—lepiej ci mieć więcej ludzi. Powłokę za tobą. Mnie wszystko jedno, gdzie ginąć, a jak wypoczną, nie bez tego, żebym się nie zdał.

Z tak narzuconym towarzyszem, Paweł nie odzwawszy się do niego, siadł na koń.

Wierzeja co powiedział, strzymał. choć zmęczony, włókł się za biskupem. Pół dnia jechali nie mówiąc do siebie. We wsi kościelnej Paweł zawrócił na plebanią, Wierzeja z nim, jakby do dworu należał. Kazał się ugaszczać księdzn, a co mu nie dano, brał sam.

Na popasie rozpytywali o nowiny, wieści złe były. W Krakowie trwoga panować miała. Leszek i Bolko na niemieckich osadników w mieście rachując, ziemian co ich zdradzili, karali bezmiłosiernie. Wojska obu książąt ciągnęły na Ślązko pustoszyć ziemie Władysławowe, mszcząc się za jego z Pawłem spiski.

Nie chcieli tu spoczywać długo, wieś na gościńcu, odkryta, nie mogła służyć za schronienie. Po południu jechali dalej. Nocleg wypadł lepiej, bo wśród lasów znalazło się dworzysko, które do biskupstwa należało. Ks. Paweł był tu u siebie. Wprawdzie wygod nie znalazł żadnych, ale rozstawiwszy czaty. można było dłużej wypoczywać.

Wierzeja się do straży ofiarował.

— Mnie też o mój łeb chodzi — rzekł — wezmą biskupa, to i ja przepadnę... a zem ja robak mały, innie prędzej niż was zgniotą. Zatem narzucił mu się przybłęda na dowódcę. Kruka precz przegnał i samowolnie się rządzić zaczął.

Drugiego czy trzeciego dnia biskup już się z nim oswoił, przypadali do siebie dobrze. Począł mu wydawać rozkazy. Było mu to na rękę, bo do Krakowa ślać musiał kogoś, a Kruk choć nie przebiegły, ostrożnym był ze strachu. Spodziewał się więc, iż mu się sprawi dobrze. Wierzeja nie tylko, że się go zastępować ofiarował, ale dodał:

— To ciemiega do niczego... niechaj jedzie, a nie wraca, bez niego nam lepiej będzie.

Wśród puszczy, dolegające skwary lipeowe mniej się czuć dawały, biskup postanowił przesie-

dzicie tu dopóki by bezpiecznie na stolicę swą powrócić nie mógł.

Kruk tedy, choć nie jeden raz się przeżegnawszy, z trwogą wielką, manowcami, pociągnął do Krakowa. Przedrzeć mu się niepochwycenemu tem trudniej było, że właśnie kilku gościńcami z Krakowa wojska na Śląsko ciągnęły. Gdyby go wzięto, nie uszedłby cało, jako znany sługa biskupi. Ale ludzie małego serea instynkt mają przedziwny i Kruk ufając weń, lękając się, aby koń nie zdradził jako żołnierza, w ładajakiej opończy, z kijem w ręku, niby wieśniak przedsięwziął podróż tę odbyć pieszo.

Ks. Paweł oczekując na powrót jego, miał czas ochłonać, myśli zebrać, odwagę odzyskać. Wierzeja też, co mu się w służbę wparł gwałtem, coraz przydatniejszym się okazywał.

Podróż Kruka trwała tak długo, iż zwątpiono już o nim prawie, aby głowę nazad przyniósł całą, gdy po kilku tygodniach zjawił się nocą i nie sam.

Przybył z nim ks. Szczepan z Krakowa, ów najwierniejszy przyjaciel i sługa biskupi.

W nędznym dworku leśnym zastawszy tego, który niedawno jeszcze z tak świetnym orszakiem występował i z taką dumą książętom się urągał. Ks. Szczepan zrozumiał, iż z tego skorzystać może.

Przypadła mu rola pośrednika, którą łaskę u księcia i wdzięczność ks. Pawła mógł pozyskać.

Zamknęli się w komorze na rozmowę.

Biskup bolał i wyrzekał.

— Zdradzili mnie wszyscy! zawiedli! krakowscy ziemianie rzucili samego. Ślązak chciał, aby mu gotowe postawić... ale—biskpem jestem jeszcze i piorun mam w rękach

Ks. Szczepan odgrózek słuchając, głową potrząsając—pocałował go w ramię.

— Ojcie—odpark.—Nie o piorunach dziś nam mówić! Co było, to było. Wy o niczem nie wiedzie-

liście, ludzie na was winę zrzucają. Zgodę trzeba robić, ranę smarować! Przyschnie to!

Szeptali cicho, Paweł go chwycił za rękę.

— Myślisz, że ja kiedy poddam się im, a zemsty wyrzeknę? Ja? Znasz ty mnie?

Szczepan mu dokończyć nie dał.

— Tymczasem — powtórzył — zgody potrzeba, milczeć musimy.

— Milczeć będę — odparł Paweł — ale tu. I za pierś się pochwycił.

Znowu się zaczęły szept i spory. Ani pierwszego ni drugiego dnia, biskupa uchodzić nie mógł przybyły. Trwało rozprawianie dni kilka. Często zrana stawało porozumienie, a wieczór zrywano wszystko. Kanonik miał wszakże ukołysać i uspokoić ks. Pawła do czasu, zgodzili się i poseł jechał już nazad do Krakowa.

Z wesołą twarzą wywiódł go biskup w podwórze.

— Nie daj mi tu zdychać na tej pustyni — rzekł — nie trzymajcie mnie na łańcuchach!

— Musicie dotrzeć, aż z Opolskim zgoda stanie — odparł Szczepan — naówczas reszta pójdzie łatwo.

Został znów biskup z Wierzeją sam.

Niczem było pierwsze oczekiwanie obok tego drugiego, które się niesłuchanie przeciągnąć miało.

Ks. Szczepan wyjechawszy, wcale o sobie wiesci nie dawał. Tygodnie upływały w męczarniach nieznośnych dla niecierpliwego człowieka. Nadeszły znowu dnie takie, że Wierzeja z nim ząb za ząb się kłócił i musiał jak inni uchodzić, bo się stawał gwałtownym jak dawniej.

Kruk po odzieży postrzegł, że biskup nagle chudnąć poczynął.

Twarz nabrękała wprzód, zwisła i pomarszczoną okrywała się skórą, policzki mu zapadły, ręce się trzęsły. Jadł i pił jak dawniej, lecz nic go odżywić nie mogło.

Już zapomniano prawie o Biece, gdy się tu

zjawila znou. Krążyła okolo dworku, zaglądała do okien, nastreczała się na przechadzkach, śmiechem do wściekłości drażniła biskupa, a gdy ją gnać kazal i odpędzać ludziom, znikala.

Czeladź tknąć się jej obawiała, miano ją bowiem za czarownicę, a imienia tego dosyć było naówczas, aby ludzi rozpędzić, nikt z tajemniczą władzą szatana walczyć nie śmiał.

Biskup pędził życie w męczarniach nigdy nie będąc pewnym, że tej twarzy strasznej nie zobaczy, śmiechem urągającego mu się nie usłyszy.

Jesień już była, gdy dnia jednego ks. Szczepan przyjechał.

Wiózł wiadomość o zawartej z Opolskim zgodzie, i o pojednaniu Leszka z żoną Gryfiną, którą księciu Bolesławowi udało się z klasztoru wyciągnąć i małżonków od lat wielu rozdzielonych, na nowo połączyć.

Usłyszawszy o tem pojednaniu, biskup szydersko się z niego wyśmiewał.

— Gdy się wszyscy jednają—zawołał—gódźcież i wy mnie z książątkiem tem.

— Książę Władysław Opolski już w waszej sprawie mówił—odezwał się Szczepan. — Stało na tem, że spokojnie do Krakowa powracać możecie. Nie wam nie czynią. Księżna Kinga prosiła za wami, choć zna w was wroga swego. Leszek się opierał, Bolesław łaskawszy obiecał zapomnieć o wszystkim.

Ks. Szczepan radował się i nakłaniał do jak najspieszszejszego powrotu, lecz bezpieczeństwo, za które on ręczył, nie zdawało się dostatecznem biskupowi. Sam mając w sercu zdradę, obawiał się jej. Kilka dni upłynęło nim biskup wręście, ważąc się, wahając, ośmielił wyruszyć do Łagowa, aby zamtąd do Krakowa powrócić.

Z poselstwa kanonika wypadalo, iż jawnej zgody nie miało być, a biskup przybyć mógł jakby nie nikomu nie zawinił. W dworcu jego miano go przyjąć jak dawniej, i spokój mu zaręczano.

— Kapitula, duchowieństwo wasze — mówił ks. Szczepan — ręczyło, iż Wasza Miłość zajmiecie się owieczkami swemi, księciu więcej żadnych przeszkód nie czyniąc.

Ks. Paweł wykrzywił się dziwnie, i szepnął po chwili.

— Są może ludzie co zapominają, co raz znienawidziwszy kogo, pokochać go potem mogą, mnie tej enoty nie dano!

Skończyła się na tem rozmowa.

Weale innego przekonania musiano być w Krakowie i Sieradzu. Książę Bolesław pewien był, że biskup złamany i upokorzony, nadał się zachować spokojnie.

Przebaczono mu wspaniałomyślnie, choć dowody spisku i zdrady, aż nadto jawne były.

Leszek mniej wierzył w tę skruchę, tak jak ze zgody z żoną nie wiele się spodziewał.

Coraz wybitniej objawiał się charakter następcy Bolesława Wstydliwego, który wojną tylko zajęty był, a zresztą na wszystko w świecie obojętny. Najwyższe jego szczęście było w polu trwać, w obozie, pogonią chodzić za Litwą, w bitwie się z nią zająć, uciierać i waleczyć jak prosty żołnierz.

Księżna Gryfina po powrocie do Sieradza na próżno usiłowała go zjednać sobie. Nie obchodził się z nią surowo, lecz pozostał jak był obojętnym. Czynił co mógł, aby rozrywkę jej sprawić i zachęcić do dogadzać, służba była na rozkazy, ale on sam częściej w polu niż w domu, i ledwie zbroję zrzucił, już ją wdziewał znowu.

Na żadną też inną niewiastę nie spojrzal i brzydził się temi co do nich lgnęli. Rycerstwo Leszkowe strzegło się podać u niego w podejrzenie lekkości, bo kto miał je na sobie, ten łaskę tracił.

Takim był przyszły książę krakowski, który mógł do władzy przyjść co chwila.

Książę Bolesław sechł, smutniał, chorzał, sam

sobie już długiego nie obiecując życia. Wszyscy się zwracali powoli ku temu nowemu słońcu, które wkrótce wnijść miało.

Na wiadomość o przebaczeniu biskupowi, Leszek się obruszył mocno. Wiedział to dobrze, iż Paweł mu nie przebaczy, że walczyć z nim będzie musiał. Chciał aby slano ze skargą do Rzymu i biskupa zrzucono, i gotów był na się choć kłatwę wziąć, aby go zamknąć i trzymać w niewoli.

Wiedział Czarny o spiskach z Litwą biskupa, i przepowiadał, że się one odnowić muszą.

Gdy w Sieradzu Leszek bolał tak nad zbytnią łagodnością stryjowską, biskup jechał już do Łagowa.

Na wieść, że został do łaski pańskiej i władzy przywrócony, zbiegli się zaraz doń dawni przyjaciele. Część kapituły, wierna mu, śpieszyła witać ocalonego, dwór rozpieszczył gromadził się na nowo. Grzywny znalazły się w skarbcach kościelnych i życie rozpoczęło po staremu.

Jednego wieczora cicho i bez rozgłosu zajechał pasterz na swój dworzec krakowski, jak gdyby z łowów powracał.

Wiedziano o nim tegoż dnia na Wawelu i książę, który przyszedł mszy słuchać u świętego Wacława, w kościele go po raz pierwszy zobaczył.

Wśród uroczystego nabożeństwa, jakim powrót jego uczyć chciano, zwróciwszy oczy na lud, Paweł ujrzał twarz tę, której się lękał i spodziewał. Bieta stała patrząc nań czarnemi, ognistemi oczyma. Zbladł przerażony tak prawie, jak gdy ją tu ujrzał po raz pierwszy. Lecz roztargnienie jego, zmęczenie, niepokój, ludzie i książę mógł sobie tłumaczyć skruchą, i litością poruszyło się dobre serce Bolesława.

Po skończeniu nabożeństwa, gdy z niego suknie zdejmowano biskup namyślał się, czy ma iść do księcia lub nie. Krok ten zdawał mu się upokarzającym, lecz ks. Szczepan i inni naglili i prosili.

Wychodząc ze drzwi kościelnych wahał się

w końcu pragnienie zemsty zniewoliło go do tego co za upokarzające poczytał.

Poszedł, lecz niepoznać w nim było zwyciężonego, który idzie przebłagać zwycięzcę. Kroczył z dawną swą dumą, ze śmiałością dostojności swej, z pozornym pokojem, jak gdyby odszedł ztąd wczoraj i wcale się nie czuł winnym.

Książę Bolesław ze dworem nań oczekiwał.

Wejrzawszy nań, ks. Paweł, sam zmieniony wielce, bo na twarzy pozostały ślady niezatarte tego co przecierpiał, uląkł się prawie oblicza tego pańskiego, na którym stała wypisana blizkiej śmierci przepowiednia.

Uląkł się i uradował razem.

Leszek, mniej łagodny, surowszy pan. był dlań do pokonania łatwiejszym.

Z przybranym uśmiechem na ustach wszedł biskup do komory pańskiej. Bolesław przyjmował go, otoczony wierną starszyzną.

Po przywitaniu, książę odezwał się radując pokojowi i bezpieczeństwu przyszlemu kraju swojego.

— Czas, aby Bóg miłosierny zlitował się nad nami — rzekł — albowiem to panowanie moje, dość srogich już klęsk doznało. Radbym, ażeby jaśniejsze słońce memu Leszkowi przyświecało.

Ks. Paweł półgębkiem też nadzieję wypowiedział.

Wspomniano o Tatarach, iż poniósłszy niedawno klęskę, rychło się na nowy najazd ważyć niepowinni. Kancelarz chcąc rozmowę od drażliwszych przedmiotów oderwać, wtrącił świeżo przyniesioną wiadomość z Lignicy, iż druga żona Rogatki, którą był niedawno poślubił, sromotnem jego życiem zmuszoną była pieszo, przebrana po męsku, do ojca uciekać.

Bolesław bolał nad tem, a biskup potwierdził wieść, dodając, że Łysy swawolne życie wiódł i mianem w niem ani wstydu nie znał.

Mówiono i o tem, że dorosłe dzieci mają, w wieku już późnym niepotrzebnie śniłował

Twierdzili jedni, iż dla wiana to uczynił, drudzy, że z rozpusty.

— Z księciem Henrykiem Wrocławskim—rzekł Bolesław—zdawna są nieprzyjaźnie, lecz ten się go nie ma co obawiać, bo człek taki podupadły na rozumie i mieniu nikomu niebezpiecznym być nie może.

— Ja zaś powiem—dorzucił biskup—choćbym się Miłości Waszej sprzeciwiać nie chciał, że człek co już do stracenia nie niema, najniebezpieczniejszym jest. Nigdy też ludzi do rozpaczey doprowadzać nie należy.

Zamilkł na to książę, a inni, po sobie patrząc, milczeli też, bo zdało się, iż biskup nie bez myśli ku sobie zwróconej, rzekł te słowa. Tak, krótko zabawiwszy, wstał ks. Paweł, pobłogosławił, pożegnał i wyszedł.

Takie były pierwsze odwiedziny na Wawelu, a po nich drugie nierychło nastąpić miały. Biskupowi z niemi nie było pilno.

Jakby na żart nazajutrz, posłał Bolesławowi psów czworo, ogarów przedziwnych, urągając się mu i chcąc potwierdzić co ludzie niechętni pletli, iż Pudyka darowizną psów najłatwiej zjednać było.

Książę zaś, w dobrej wierze przyjął dar i uradował się nim wielce, złośliwości jego nie zrozumiawszy ani nawet z posępnych twarzy dworu swego, który go wziął niemal za obelgę.

Lowezy książęcy chciał powieszać lub je precz wygnać, lecz zaraz nazajutrz Bolesław niecierpliwy nakazał do lasu, aby je prędzej wypróbować.

Paweł śmiał się pogardliwie, gdy mu doniesiono, iż Bolesław z ogarami jego na lowy ruszył.

— Jak dziecko jest — rzekł — które lada cacką uspokoić można, choć je różgą strzepano!

IV.

Wróciwszy na dworzec swój, biskup mnogich gości oczekujących nań nie pozdrowił nawet i poszedł do komory odpocząć.

Z czoła widzieli wszyscy, iż gniewny był, choć przyczyny nie odgadywano. Przypisywano to bytności u dworu, bo biskup patrzeć nawet na tych, których nienawidził, nieumiał cierpliwie. Burzyło się w nim wszystko, choć dobrze już był zestarzał, choć zmienił się pozornie, choć gwałtowne wybuchy i dziwactwa szalone, rzadziej się teraz zdarzały.

Dwór Pawła takim, jak był pozostał.

Było to zawsze zbiorowisko ludzi straconego imienia, gotowych na wszystko, błędnych rycerzy, ziemian podupadłych, wychodźców z różnych kątów świata, głodnych, checiwych, a najgorszego obyczaju.

Aby go poznać, dość było popatrzeć na tę ucztę prawdziwie ewangeliczną, którą tu codziennie dla dworu, we dwu lub trzech izbach zastawiano. Nie byli to biedni i nędzarze, ale obieżyświaty, szalone palki, twarze od napoju zabrzękle, oczy skośno patrzące, porąbane policzki, istna zbieranina zgrai, co dla chleba gotową była na krew.

Ci około biskupa żywiąc się, służyli mu, można było ich wyprawić z tajemnem poselstwem bodaj w pogańskie kraje, użyć na zasadzkę do roboty podziemnej, którejby się żadne czyste ręce nie podjęły.

Wierzeja, który lając biskupa bliższą z nim zrobił znajomość, teraz już powolnego i bojaźliwego Kruka zaparł do kąta i zyskał szczególne względy.

Służył biskupowi tem chętniej, że u niego się czuł bezpiecznym od więzienia, a z pomocą i opieką jego miał nadzieję jaki splacheć ojcowizny odzyskać.

Kruk zszedł na podrzędnego sługę, wisząc u dworu, choć stracił największą tu podpórę, Werchańcowę, z którą już żenić się miał, gdy ją śmierć zaskoczyła.

Spotkanie w kościele z tym szatanem, Bieta, która wróciła do Krakowa i znowu siedziała u Krzyżana, aby się Pawłowi na oczy nastęrczać, zburzyło i do najwyższego stopnia podrażniło go. U stołu chociaż pił, a stary ks. Kwoka silił się, aby go rozerwać, grając swą rolę wesółka, Paweł ani razu się nie uśmiechnął. Siedział wdumany smutnie w siebie, co powszechnie za przyniesione z zamku wrażenie brano.

Prędzej niż zwykle nawet gości swych porzucił biskup i mrucząc jak niedźwiedź, o stoły się opierając, powłókł opieszale do komory, skinąwszy po drodze na Kruka. Łaską to dlań było, że go wezwano, i pobiegł co najprędzej. Biskup siedział już w komorze na poduszkach z głową w dłoniach. Kruk długo musiał oczekiwać nim się odezwał. Chrzakał i tarł nogami, aż biskup go sobie przypomniał.

— Słuchaj — rzekł, zwracając się doń. — Długo wy jeszcze tej babie, lajdaczce, Biecie tej przeklętej, dacie się za mną bezkarnie włóczyć wszędzie? Nie widzicie i nie rozumiecie, że ona mi już tu siedzi!

Pokazał na gardło.

Kruk tak się jej obawiał jak wszyscy. Znano ją w całym Krakowie, wzbudziła postrach. Głoszono ją wiedźmą, nawiedzoną, czarownicą. Nikt palcem się jej tknąć nie ważył. Kruk ramionami ruszył, ręce rozłożył.

— A cóż z nią począć? — rzekł.

Domawiał tych słów, gdy zazdrosny Wierzeja zobaczywszy, że jego podwładnego wezwano na rozmowę poufną, wszedł nieproszony.

Domyślił się, czy podsłuchał o kogo szło, wiedział, że dokuczyła biskupowi.

— El — odezwał się, popychając Kruka na stronę. — Co Wasza Miłość od niego chcecie? on się boi wszystkiego, do niczego niezdatny, to pruchno. Jeżeli

trzeba tej babie naukę dać, nie kto inny sprawi to, tylko ja.

Rozśmiał się pokazując na siebie.

— Ten się boi czarów i czarownic — dodał — a ja mam taki węzeł przy sobie zawsze, co mi go jedna baba dała, że mnie żadna wiedźma najsłodsza nie może uczynić nic.

Jeżeli trzeba co sprawić, to się zrobi!

Kruk chętnie mu ustąpił i odszedł do progu.

Biskup zadumał się.

— Powiedzie jej, przestrzeżcie... że jak mi się raz jeszcze na oczy nawinie, zły! zły ją los spotka!

Wierzeja odparł:

— Powiem jej to, i więcej! Będę wiedział jak się z wiedźmą rozmówić! ho! ho!

Paweł uśmierzając się, dolożył nie patrząc na mówiącego.

— Powiedz jej, niech mi z drogi idzie precz! Po ulicach, w kościołach, gdzie ja jestem, żeby mi jej noga nie postąpiła, Zagroź!

Głową potakując mu, wybrany do poselstwa śmiałek, dolożył:

— Ja się jej tam nie boję i żadnej. Nie posłucha dobrej rady, sposób się na nią znajdzie. Splawię ją... ale z kamieniem u szyi.

Zamilkł już biskup, dając się Wierzei przechwalać ze swą odwagą i z tem co uczynić miał. Kruk i on poszeptali z sobą jeszcze, a widząc Pawła milczącym, łokciami się potracili i wyszli.

Stary Wierzeja w istocie czarownic się nie lękał, ufal głównie w ów tajemniczy węzeł, dany mu niegdyś przez babę z jego wioski, który go miał strzedz od uroków i szatańskie łamać siły.

Nazajutrz rano zaraz wyszedł Wierzeja szukać Biety. Kręciła się ona wszędzie, ale właśnie, gdy jej kto szukał, natrafić na nią było trudno.

Na Wawelu u tego skrzydła, w którem mieszkał Krzyżan, stał i przechadzał się długo, aż mu

zapytany parobezak powiedział, że ta Bieta (lud ją tak zwał) rano bardzo poszła w świat, a kiedy miała powrócić nikt nie wiedział.

Powłókl się, dopytując po drodze o nią na miasto, krążył i tu długo nadaremnie, aż w zaułku pustym znalazł ją siedzącą na ziemi, z bosami wyciągniętymi nogami, rękami obiema opartą o murawę, odpoczywającą i jakby zdrzemaną.

Stał przed nią i czekał czas jakiś, nim go postrzegła i podniosła oczy na niego. Wejrzenie, którem go mierzyła, trochę poruszyło Wierzeję, dreszcze po nim przeszły, ale wprędce męztwo wróciło.

— Słuchaj ty, więdźmo jakaś — poezął głośno i groźnie — ja za tobą goniąc już pół dnia straciłem.

— A czegoż chcesz odemnie? — odezwiała się głosem złamanym i lagodnym.

— Oto ja tobie przyszedłem powiedzieć, nie od siebie! rozumiesz — mówił Wierzeja — nie od siebie! że jak się będziesz biskupowi na oczy nawijać po kościołach i ulicach, a nie zejdziesz mu z drogi...

— To co! — spytała dumnie, podnosząc głowę Bieta.

— To ja sługa jego — dokończył stary — z kamieniem u szyi do wody cię eisnąć każe.

Wcale nie złęknioma Bieta popatrzyła nań długo.

— Myślisz, że ja się tego nastraszę? — odpowiedziała ze śmiechem. Al! toć mi zrobisz łaskę! bo mi życie nosić na ramionach obrzydło, a dopókim żywa chodzie za nim mnszę.

Wiesz ty, dlaczego ja za nim chodzę?

Dopominam się u niego o zgubioną duszę moją, niech mi ją odda. A kto mnie z klasztoru i od ołtarza do zabawki wziął? Wiesz ty?

Wierzeja splunął.

— Mało kto weźmie dziewczkę — odparł — to ja już za to ma cale życie trzymać!

— Al ma! — zawołała gwałtownie Bieta — albo ją trzymać lub zabić! Niechże zabije. albo zabić każe

Wierzeja stał, słuchał i w głowie mu się to niemogło pomieścić. Burczał, prychał zanim się zdobył na odpowiedź.

— Niech tam sobie będzie co chce—zawolał—jak biskup cię zobaczy, a zagniewa się, ja cię spławić każę i pójdiesz na dno!

Bieta ramionami ruszyła, popatrzała nań i po chwilce sparła się o plot znowu, przygarbiła, ręce założyła na piersi, nogę na nogę, spuściła głowę, zdawała się zapominać, że stał przed nią jeszcze

Potem rękę jedną spuściwszy, zaczęła trawę szczypać koło siebie, zrywać kwiatki i brać je do ust. Żuła je i wypływała.

Bawiła się nieprzytomna jak dziecię. Stary stał i patrzył. Ten spokój niewiasty śmiercią zagrożonej, przejmował go jeżeli nie strachem to ciekawością.

Sądził, że miała nie spełna rozumu.

Dawszy się jej trochę liśćmi zahawić, gdy już odchodzić miał, dodał jeszcze:

— Patrzajże!

Bieta podniosła oczy, uśmiechnęła się, spuściła je i znowu trawę skubała. Straszna była w tym łachmanie sukni czarnej, budnej i podartej, z nogami pokaleczonemi i zabloconemi, z włosiem zrudziałym i przedwcześnie siwiejącym pasami. Część ich spadała na twarz żółtą, jeszcze piękną choć straszliwie wychudzoną i oczy ogromne, powiększone boleścią, zaognione łzami, które z pomiędzy kosmyków tych błyskały.

Wierzeja choć zahartowany i obojętny pomyślał co przecierpieć było potrzeba, ażeby dojść do takiego stanu zdrętwienia i obojętności.

Zwolna zaczął powracać ku miastu oglądając się na nią. Nie zmieniła postawy, nie patrzyła nań, schylona ciągle skubała ziele i trawę około siebie, brała je do ust i wyrzucała. Widział ją potem jak zwolna pochyliła się, podłożyła rękę pod głowę i legła tak na ziemi z twarzą ku górze zwróconą.



W skuteczność swej przestrogi nie wiele pono wierzył, myślał więc, do domu idąc, co mu przyjdzie począć, jeżeli ona go nie usłucha. Topić ją nie bardzo sobie życzyl. Dzień ten upłynął zresztą spokojnie.

Drugiego dnia rano bardzo biskup wyjechał na łowy. W ulicach mało jeszcze było ludzi, ale już się niewiasty z wiadrami przemykały do studni, wysoko podpiawszy fartuchy, parobcy bydło wyganiałi naprzeciw pastuchów miejskich, który je miał zabierać na paszę. Róg jego ochrypły zdala się już słyszeć dawał.

Orszak biskupi ledwie się w wązką zapuścił uliczkę, która za miasto wiodła, gdy Wierzeja ujrzał z przestrachem Bietę śmiało im zachodzącą drogę. Stała tak blisko jadącego biskupa, iż ominąć jej nie mógł, wyciągając rękę ścisniętą i zgrzytając zębami wprost mu w oczy bluznęła.

— Każżę mi kamień uwiązać do szyi!

Ks. Paweł konia popędził, okiem krwawem obejrawszy się na Wierzeję. Ten już wiedział co to znaczyć miało.

Łowy dnia tego poszły jak najgorzej, co biskupa doprowadziło do wściekłości zwykłej i rzucania obuchem na ludzi! Psa jeduego ubił w miejscu, choć mu był ulubionym, ale się nie wczas przyszedł łasić.

Późną nocą powrócili do dworu. Przez całą drogę Wierzeja jechał jak trup blady i milezący. Zrozumiał dobrze znaczenie biskupiego wzroku. Baby potrzeba się było pozbyć.

Zaczął od tego, że parobków, największych złodziejów dobrawszy, spoił ich. Dopiero przystąpił do rzeczy i począł od tego, że skłamał, jakoby wiedźma ta na niego urok rzucić chciała, że ją musi utopić. Parobcy wiedzący dobrze kto była, uśmiechali się tylko.

Każdy z nich dostać miał po opończy nowej i po kilka groszy.

Trzech się ofiarowało iść z Wierzeją ezatować na nią.

Ponieważ Bieta zwykle wychodziła do dnia

z zamku, ustawili się o mroku jeszcze we wrotach. Dniało, gdy ją zobaczyli w istocie wychodzącą, raczej wlokącą się, jakby pijaną, wolnym nierównym krokiem. Odziana była jak wezora, w jednym ręku kruchy kij, a raczej kawał suchej niosła gałęzi.

Wierzeja dał swoim znak, aby szli za nią.

Niepostrzeżenie więc, jak im się zdawało, poczęli się snuć pod płotami, pod domostwy, wślad za idącą powoli niewiastą. Stała raz u drzwi kościoła, spojrziała w głąb, dumiała chwilę, powlokła się dalej.

Szła, jakby naumyślnie, wprost ku Wiśle, z czem Wierzei było najwygodniej. Śmiał się z jej głupoty. Kilka razy sparła się o płot i odpoczywała. U studni jednej znalazłszy wiadro na zrzębie, napiła się z niego trochę.

Słońce wschodziło wśród chmur sinych, jaskrawo, gdy u brzegu rzeki stanęła. Zwróciła się twarzą za siebie, jakby kogoś upatrywała i czekała. Wierzeja ludziom dał znak...

Sam pozostał za węglem domu.

Trzej pacholankowie rzucili się na nią pędem. Nie ruszyła się, widząc ich nadbiegających.

Jeden z nich obalił ją na ziemię. Wierzeja, który patrzeć nie mógł, bo mu się zrobiło straszno i zimno, posłyszał jeden krzyk, w którym niby śmiech dziki rozeznał, potem pluśnięcie wody i wrzawę głośno krzyczących parobków.

Zaledwie się to stało, gdy niespokojny Wierzeja, począł ich wołać ku sobie, nagłąc, aby przybywali. Razem wszyscy rzucili się w opłotki, w zarosła lękając się, aby ich nie postrzeżono.

Biegli tak co tchu starczyło, aż do miasta i otwartej gospody, którą haba właśnie umiała. Wpadli do niej pierwsi, gdy dopiero odsuwano okiennice, a Wierzeja dawszy im znak, aby milczeli, kazał co rychlej grzać piwo.

Gdy biskup z posłania się podniósłszy miał odziewać, Wierzeja z chłopcami co mu posługiwali

wcisnął się do sypialni, na twarzy mając wypisane zwycięstwo swe i wielką radość.

Ks. Paweł musiał to zrozumieć spojrzawszy nań, bo zaraz chłopców odprawił.

— No — mruknął poufale Wierzeja — z babą skończono!

Rękami coś pokazał i rozśmiał się. Biskup zbladł, odwrócił się zaraz od niego, nie rzekł słowa.

Na razie nie chciał się sługa upominać o zapłatę krwi, zagadał o słowach, aby rozerwać pana, a gdy kapelan nadszedł, wysnął się.

Dla tego jednak Wierzeja nie postrzegł, ażeby się czoło biskupa rozjaśniło, chodził ponury i za próg ruszyć się nie chciał.

Wieczorem ludzie u niego pili, i on pił, ksiądz Kwoka dawał zagadki łacińskie i polskie do rozwiązania, których cały dowcip na tem zależał, że się odpowiedź na nie nastroczała plugawa, sprośna a w istocie, wyraz żądany był niewinnym.

Takie dwuznaczniki bawiły wielce starych księży ulubieńców biskupich, a on sam też mowę rubaszną się nie brzydził. Wieczór cały spłynął na takich krotoczwilach. Kilka dni następnych nie przyniosły nowego nic.

Nadeszły do Krakowa wieści osobliwe, które zdumiały wszystkich, że szalony, przez wszystkich wzgardzony Rogatka, zdradą w Jeleży pochwycił Heuryka Wrocławskiego i zamknął go na zamku w Leźnie.

Rozradowało to biskupa, niewiedzieć dlaczego. W chwili, gdy się wyśmiewał z tej przygody, uderzył pięścią o stół i krzyknął.

— Łysak ten ma szczęście choć rozumu nie ma; drugim na nim nie zbywa, co gdy los nie sprzyja!

Wszyscy książęta pokrewni gotowali się iść przeciwko stryjowi w obronie synowca.

Zawrzało i zakipiało na granicach. Biskup tajemnie wysłał na Litwę i rad był sądząc, że w mętej wodzie coś złapie.

Wracała mu buta, wesolość, ochota, i zdało się, że w ciągu tych kilku dni odmłodniał.

Nie obawiając się już spotkania żadnego i z myśli wypuściwszy co mu Wierzeja zwiastował, wybrał się ks. Paweł jednego dnia nie na lowy, ale z przyjaciółmi swymi do sąsiedniego folwarku, gdzie dla większej swobody ucztę im przygotowano.

Droga wiodła wprost przez Rynek, a jechał z gromadą ludzi wielką. Miał z sobą ziemianu krakowskich kilku, których znówu jednać się starał.

Jechali żywo i wesolo, gdy nagle biskup jak rażony piorunem konia strzymał. Jadący za nim nęklili się czy krew go nie cisnęła, tak się zachwiał i miotał na koniu.

O kroków dziesiątek przed nim, stała wprost jadących, zapierając im drogę, Bieta. Umyślnie sobie wybrała miejsce takie aby ją widzieć musiano.

Odziana była tylko inaczej, w suknię brunatną, barwą do zakonnej św. Franciszka podobną. podpasaną sznurem słonianym. Głowa białą chustą przyślonięta była.

Stała wpatrzona w biskupa oczami straszniemi, usta jej powoli zaczynały się krzywić jak do uśmiechu, obnażyła zęby ścięte i przeraźliwe parsknięcie szyderskie rozległo się po pustym rynku.

Wierzeja, który z tyłu jechał za panem, zrazu nie widział jej, dopiero uśmiech posłyszawszy, spał się na strzemiona, zobaczył upiora tego, i krzyknął.

Biskup koniowi dał ostrogę, cała gromada w prawo się rzucawszy kłosem pominęła Bietę, która zwolna zawróciła się za nią, śmiejąc i wyciągając ręce.

Gdy Wierzeja mijał ją strwożony i blady, pokłoniła mu się i dała znak ręką, jakby zapraszając aby raz wtóry próbował.

Powolnym krokiem potem głowę owinawszy chustą, ręce złożony na piersiach, zwróciła się nazad ku zamkowi.

Odzyskaną wesolość biskup stracił dnia tego

Jak tylko sam na sam znalazł się z Wierzeją, wpadł nań łajac go jako bezczelnego kłamcę, łotra, co chciał podejść pawa dla zysku. Wierzeją przysięgał, że ją w oczach jego utopiono, opowiadał szczegóły, mianował ludzi, chciał ich przyprowadzić na świadki. Biskup nie chcąc słuchać, ze wściekłością go odpędził, zabraniając się pokazywać sobie na oczy.

Wierzeją nie tracąc ani chwili, siadł na koń i nazad do Krakowa popędził. I on już wściekły był. Konia okładając wyłamanym z płota kijem, dopadł napowrót Rynku, skreślił do dworca, gdy wśród drogi zobaczył stojącą Biętę.

Ta poznawszy go, nrać mu się zaczęła. Wierzei to już było nadto, z konia skoczył i rzucił się ku niej.

Chciał już łajac, gdy spotkał wzrok śmiały wymierzony ku sobie, zabelkotał, mówić nie mógł.

Bieta poczęła sama:

— Widzisz, żem żywa! Ani ty, ani nikt mnie nie uśmierci, bom ja jest karą Bożą! bom ja bicz boży na złoczyncę! Utopicie mnie i zabijecie sto razy, wstanę z wody i z grobu, abym mu w oczy rzuciła potępieniem!

Widzisz. Stoję bezbronna! Masz nóż u pasa! Nie bronię się! Odsłoniła chustę, rozerwała szatę tak, że piersi na pół obnażyła.

Zbója ogarnął strach jakiś niepojęty, jak szalony pobiegł do konia, skoczył i uszedł. śmiech słysząc długo za sobą.

Gdy biskup późno w nocy wrócił, nie stawil mu się Wierzeją. Nie zawołano go aż nazajutrz rano. Noc uspokoiła nieco oszalałego człeka.

Pachołkowie, na których wpadł z gniewem, przysięgali się, iż ręce i nogi postronkami jej obmotali, aby płynąć nie mogła, że do szyi uczepili jej kamień spory, że poszła na dno.

Dowodziło to, że czarownicą była, przeciw której nikt nie mógł nic, bo ją szatau z wody i ognia ratował.

Wierzeja zaczynał o swym węźle powątpiewać, czy go obronić potrafi. Z głową zwieszoną poszedł do Pawła, który począł od łajania.

— Każcie sobie komu innemu robić z nią co chcecie—odparł Wierzeja—ja niedam jej rady. Pachółkowie poświadeza, że ją związaną z kamieniem u szyi rzucili do wody, a djabeł uratował.

Ja przeciwko szatanowi nie stanę.

Znowu tedy biskupowi powróciła trwoga nieustanna i upokarzające uczucie bezsilności, że on pan możny jednej słabej niewieście podotać nie mógł.

Bóg więc sam trzymał ją jako miecz zwieszony nad jego głową, jako bicz nad barkami jego. Czasami skrucza budziła się wywołana trwogą, ale krew wrzała. Biskup buntował się przeciwko sumieniowi własnemu.

Znowu chciał ludzkiemi pozbyć się jej środkami.

Dwór biskupi rozповідаł te dzieje, rozechodziła się wieść o nich szeroko, ludzie byli ciekawi. Strach i poszanowanie budziło się dla Biety, którą teraz zakonnicą zwano, gdy brunatną suknię wdziała.

Od owego dnia, gdy ją topiono, zmieniła się ona. Włożyła tereyarską suknię zakonu, którą porzuciła, zaczęła chodzić po kościołach i modlić się ze łkaniem. Widywano ją krzyżem leżącą i jęczącą głośno w czasie mszy świętych.

Ludzie coraz się więcej litowali nad pokutnicą.

Do tych, którzy ją o co pytali, mówiła rzadko, potrzasała głową, ale łagodną była, obojętną na niewygody i jak ostygłą.

Jak gdyby przeznaczeniem jej było nie spoćzać nigdy, nie zażyć pokoju, wychodziła rano z zamkn od Krzyżana, który ją i teraz żywił i dawał z miłosierdzia przytułek, z kolei odwiedzała wszystkie kościoły, ementarze, kaplice, siadała odpoczywać w odludnych kątach i tak spędzała całe dnie do późnej nocy.

Ludzie litościwi karmili ją niekiedy, dawali chleba kawałek, strawy w misce drewnianej. Przyjmowała

to milcząc, jadła jakby niewiedząc co robi i mrużąc odchodziła.

Wierzeja po tym wypadku, po którym popadł u biskupa w niełaskę, nie mógł się długo uspokoić.

Ocalenie Biety siepacze przypisywali szatanowi, on jednak począwszy śledzić, pytać i chodzić, doszedł, że się inaczej uratowała. Cud ów zlej mocy okazał się bardzo prostą sprawą biednego człowieka.

Gdy pacholkowic rzucali ją do wody związaną, u brzegu nieopodal, rybak w czólen sieci ściągali. Widział on napaść i zaledwie się zbóje oddalili, podpłynawszy ku miejscu, w które wrzucono Bietę, zarzucił hak, który miał w czólnie, schwycił nim za sznury i z wody dobył omdlającą.

Sam on nie dobrze wiedział dla czego to uczynił, ale żał mu się zrobiło i wyratowawszy z topieli, dopóty kolo niej chodził, aż przytomność odzyskała. Leżała potem godzin kilka sama na wybrzeżu, dopóki jej trochę sił nie wróciło, i zawlokła się napowrót do Krzyżana na zamek.

Tu obmokłą, osłabłą brat ów stary, jak mógł odziać się postarał, napoić i nakarmić.

Nie mógł się nawet dowiedzieć od niej co się z nią stało, bo mu opowiedzieć nie chciała. Domyślił się łatwo kto mógł być sprawcą.

Z widzenia już знаła Bietę księżna Kinga, wielka ubogich miłośnica, jak Jadwiga Ślązka. Kilka razy zbliżała się do niej, i od niej teraz dostała Bieta tę suknię brną, zakonnym krojem, a krzyżyk na szyję.

Lagodne słowo księżnej, która miała dar otwierania serc ludzkich, pierwszy raz, od bardzo dawna lzy wywołało na oczy Biety. Nie lzy gniewu jakimi nieraz płakała dawniej, ale żalu i skruchy.

Poszła zadumana, próbując się modlić.

Śmiech ten dziki, który jej usta wykrzywił, powracał tylko, gdy zobaczyła Pawła. Patrzając nań, szal ją ogarniał, potem siadała, płakała i chroniła się do kościoła.

Biskup Paweł parę razy zobaczywszy ją około dworu księżnej, a raz nawet przy niej samej, uniósł się gniewem niezmiernym. Zdało mu się, że ona go tam oskarżać i gwałty jego opowiadać musi.

Znowu tedy namiętnie wolać zaczął.

— Kto mnie od tej szalonej uwolnił żeby jej oczy me nie oglądały!

Wierzeja, który więcej znów ufal sobie, dowiedziawszy się o ocaleniu Biety przez rybaka postanowił się poprawić. Ciż sami pacholkiwie z przybranym jeszcze do pomocy siepaczem, zaczęli na nią. Nie było nic łatwiejszego nad pochwycenie jej, gdyż często się po pustych kątach, około ementarzów, za miastem włóczyła.

Jednego wieczora Wierzeja z pacholkami powrócił pędem do dworca, jak oszalały. Ludzie byli okrwawieni.

Co się stało? nie chodził się w tem chwalić do biskupa. Mówił tylko głośno, że tym razem już jej więcej żywa widzieć nie będzie.

Zbójce napadłszy bezbronną w istocie zabili ją okrutnie. bez litości, zadali jej razów kilka nożami i oblaną krwią rzucili za zabita, usłyszawszy, że się ludzie jacyś zbliżali.

Wóz to był, na którym dwóch księży duchaków jechało, którzy naówczas przy szpitalu biskupa Iwona siedzieli. Ci zobaczywszy niewiaścę okrwawioną, która jeszcze znaki życia dawała, zatrzymali się, poobwiązywali jej rany i przewieźli do szpitala.

Resztką życia drgała jeszcze w nieszczęśliwej.

Miłosiernym obyczajem świętej Jadwigi obchodząca szpitale księżna Kinga, znalazła ją tu osłabłą bardzo, ale zdającą się powoli powracać do życia.

Poznała w niej swą pokutnicę, i wielką litością zdjęta poleciła księżom, aby gdy cokolwiek sił odzyska, na zamek ją odesłali.

Jakoż przyniesiono ją tu w dni kilka, a Kinga pielęgnująca zawsze ubogich i chorych przy swoim

dworcu, ze szczególną pieczołowitością zajęła się Bieta.

Chodząc około ciała pobożna pani nie zapomniała o duszy, odmawiała nad nią codziennie modlitwy, pocieszała ją słowem Bożem.

Choroba się przeciągnęła, ale gdy raz przeszło niebezpieczeństwo, Bieta cudownie zaczęła odzyskiwać siły, i jakby drugą młodość a piękność zniszczoną.

Lice jej stało się białem i przejrzystem, usta złagodził uśmiech dobry, błogi jakiś i spokojny.

Modlić się mogła i płakała, a są łzy, które Bóg daje na pociechę, jak są, które się stają męczarnią.

Lecz jak tylko wstała o swej sile, choć księżna zatrzymywać ją chciała, wyrwała się jej i wyblagała, aby mogła wieść dalej życie pokutnicze.

Wdziała habit i pasek terejarski. okryła ostrzyżoną głowę, i ucałowawszy nogi pobożnej pani, poszła znów błdzić po świecie Bożym.

Biskup zaproszonym był właśnie na odpust do kościoła Św. Franciszka. w którym rzadko bywał i z wielkim występem przybył na nabożeństwo nroczyste, gdy zasiadłszy na przygotowanym dla siebie tronie, oczyma wodząc po zgromadzeniu, zbladł nagle i zatrzęsł się.

Wiedział, że Bieta była zamordowaną. Upior stał znowu przed nim.

Zmartwychpowstała zakonnica nie taką jaką ją wprzód widywał, gdy śmiała się szydersko i groziła mu! Była inną, jakby odżywioną promieniem łaski, odmłodzoną, piękną, smutną, straszną jak wyrzut sumienia. Stała przed nim - pokutnicą. Wzrok jej nie urągał mu się ale litował, a litość ta srożej go może zabolala, niż szyderstwo.

Stała ze złożonemi rękami, modląc się, dwie łzy ciekły z pięknych jej oczów.

Biskupowi całe nabożeństwo, którego nie widział, nie słyszał, a nieprzytomny je przetrwać musiał, wydało się jak wiek długiem.

Księża, chwiejącego się musieli ujawszy pod ręce prowadzić do zakrystyi, trząsł się jak w febrze i zawodził obłąkanym wzrokiem.

Na poly omdłego musiano go trzeźwić długo, nim zmysły odzyskał. Prosił głosem słabym, aby mu w klasztorze spocząć dano.

Obawiał się spotkania u drzwi kościelnych.

W komorze gdy powrócił nocą, Wierzeja przyszedł mu się do nóg rzucić. Zmieniony był, upokorzony... oczy miał splakane.

— Miłościwy paniel—zawołał, w piersi się bijąc—grzesznik miłosierdzia nie godzien... jutro wstępnę do klasztoru.

V.

Upłynęło lat kilka.

Wieczorem wszystkie dzwony Krakowa odezwały się jękiem żałobnym. Ludzie wychodzili z domostw zdumieni i pytali nawzajem, co się stało?

Jeden po drugim coraz dalsze poruszały się boleściwemi głosy zawodząc, i miasto napełniały trwoga.

Ci co legli spać zawczasu, zrywali się z pościeli, którzy na spoczynek iść mieli, w koszulach wybiegali do drzwi.

Rynek się napełniał.

Spoglądano ku Wawelowi, z kąd pierwsze dzwony zabrzmiały.

Teraz i u Św. Jędrzeja, i u Panny Maryi. i Dominikanów, Franciszkanów, na Skałce, po kapliczkach wszystkich budziły się dzwonki i plakały.

Dzień był mroźny, zimowy.

Na ciemnem niebie, wyiskrzzone na mróz świeciły gwiazdy, na dachach leżał śnieg i jak całun

pokrywał ziemię. Tylko w ulicach biała ta powłoka zbita i z błotem zmięszana znikła, niepewną jakąś barwę przybrawszy.

Powietrze było spokojne, mróz ścinał wody i ziemię. Wśród tej nocnej ciszy, dzwony nie odzywające się nigdy o tej porze, zwiastowały wielką jakąś żałobę.

Od kilku dni Bolesław był chory.

Legł w łóżko, otaczali go księża, modlono się, czekał śmierci spokojnie, jak wyzwolenia.

Wiedzano w mieście o tem powolnem konaniu pana, dzwony więc jego zgon zwiastowały.

Zgon, a z nim niepewność przyszłości, bo choć Leszek ogłoszony był następcą, wróg jego, biskup Paweł, powtarzał uśmiechając się.

— Nie zagrzeje on stolicy.

Gdy z Wawelu pierwsze się dzwony odezwaly, biskup podstarzały lecz silny jeszcze i niepochyłony wiekiem, z niecierpliwą oznaką radości z siedzenia się porwał.

Zdawał się czekać tylko na to, jak na hasło wyzwolenia.

Twarz cała dziko mu rozpromieniała, odetchnął piersią, jakby oswobodzoną od ciężaru. Namietności, których wiek nie zdolał pokonać, wracały z gwałtownością młodą.

W tejże chwili do komory wszedł stary kanonik Wyzon, przynosząc wiadomość smutną o zgonie księcia, z twarzą chmurną, do niej zastosowaną.

Zdziwił się nieco, widząc biskupa tak wesolym niemal i rozpromienionym, nie umiejącym utaić co doznawał.

— Wziął Pan księcia Bolesława Pudyka do chwały swojej! — rzekł powoli.

— Wola Jego niech będzie błogosławioną — odparł biskup szydersko. — Teraz na zamku miejsce moje.

Poruszył się.

— Każcie mi dać suknie, zawołać szatnego, jechać tam muszę.

Szatny wszedł jak na zawołanie, a biskup z gorączkową skwapliwością ubierać się zaczął w strój urzędowy. Ludzie, choć znali jego nienawiść dla zmarłego, patrzali zdumieni na twarz rozjaśnioną swojego pana.

Dzwony w mieście były ciągle, zwiastując zgon Bolesława.

Ulice ludem się napelniały, na Wawelu widać było rozpalone światła rżęsisło i jakby lunę unoszącą się nad lożem pobożnego księcia.

Ruch jak we dnie w okolicy zamku widać było. z rynku, z ulic lud ciągnął ku Wawelowi, z zamku oddziały wychodziły na miasto.

W ulicach jezdni a zbrojni pośpieszali na górę, jakby ona obrony potrzebowała.

Żal po pobożnym panu wyrażał się cicho, więcej trwogą o przyszłość, niż smutkiem o przeszłość.

Cnotliwy książę serc sobie nie umiał pozyskać, które się tylko energją zdobywają. Ziemianie nie lgnęli ku niemu, mieszczenie nienecy więcej się oglądali na Leszka, który im przypodobać się starał, włosy i strój ich obyczajem nosił, poufalil się z nimi cętnie. Wiele też sobie po tym przyszłym panu obiecywali.

Duchowieństwo zakonne tylko i świątobliwi kapłani szczerze oplakiwali szczodrego dla siebie, pobożnego pana, który żył w mniszej surowości obyczajów.

Na zamku słyhać było stłumione jęki dworu, do pana przywiązanego i niepokój, jaki zawsze śmierć sprowadza, obawa zmian nieuchronnych.

Biskup, który wozem kazał się na zamek wieźć, z trudnością mógł się z nim i ludźmi swemi przebieć przez gęste tłumy, które wypełniały podwórze, ciągnąc ku oświeconemu dworcowi, otaczając go zewsząd. Do drzwi już się docisnąć nie można było, kler i służba musiała drogę przybywającemu torować.

Zwłoki księcia Bolesława, w wielkiej izbie nizkiej, na dole, spoczywały na uczciwie przygotowanych wspaniałych marach, szkarlatem okrytych, przyodżiane skromnie jak on chodził za życia, lecz z oznakami rycerstwa i władzy. W rękach złożonych trzymał krzyż złoty, a twarz uspokojona, zdawała się konaniem błogosławionem uśmiechniętą. O mary oparta stała tarcz malowana książęcia ze lwymi i orłami, a nad nią na wezgłowie leżała czapka obwiedziona koroną, berło i miecz kilkakroć pasem obwinięty.

Tuż u stóp katafalku, klęczały trzy niewiasty, w czarnych sukniach żałobnych i białych zasłonach.

Na przedzie księżna Kinga zwracała na się oczy wszystkich, zdumione. W jej twarzy rozjaśnionej, ubłogosławionej niemal wesolej jakąś nadziejską radością, widać było, że Bóg ziścił najgorętsze jej prośby. Na oczach nie było śladu łez, usta uśmiechały się niebiosom. Ona, jak niegdyś Jadwiga Ślązka wyrzucała płaczącym ich łzy, radowała się jawnie, czekała niecierpliwie godziny, w której zwłoki męża złożywszy do grobu, będzie mogła natychmiast spełnić swój ślub i zamknąć się w klasztorze do którego przez całe tęskniła życie. Tę radość tak dziwnie odbijającą od trumny, wyrobioną siłą ducha, która ją zupełnie obeą czyniła światu i nczneiom jego, radość tę, bijącą od niej, ludzie widzieli i niepojmując jej, trwożyli się. Nie było w świętej niewieście nic ludzkiego.

Pobożna, miłosierna, miała tę wiarę przepotężną, która w śmierci widzi tylko żywot wieczny, otwierające się niebiosy, aniołów śpiewających, witającego Oblubieńca!

Nie była ona pierwszą ani jedyną z niewiast tego wieku, za życia ubłogosławionych i umarłych światu; obfitowały w nie dwory ówczesne

Jadwiga Ślązka, Salomea królowa, Kinga i klęcząca obok niej siostra, wdowa po Bolesławie kalis-

kim, Jolanta, wszystkie żyły na świecie za pokutę, wzdychając do klasztoru.

Surowego oblicza, z twarzą pooraną marszczkami, lecz rysami przypominającą Kingę, miejsce obok niej zajmowała wdowa drugiego Bolesława, przybyła aby losy swej rodzonej podzielić.

Lecz ta na świecie zostawiała córki, dzieci, miała choć część żywota spędzoną u domowego ogniska, знаła macierzyństwa radości i troski, gdy Kinga od zaślubin swych, stawszy się zakonnica, męża dla siebie uczyniła mnichem.

Kinga i Jolanta. ciałem tu jeszcze przytomne, już duszami były gdzieindziej. Na obu wrażenie grobowe tej chwili, jej żaloba nie była widoczną, nie rozumiały smutku ludzi, litowały się nad temi co płakali. W ich oczach były grzechem i słabością.

Obok ich dwu klęcząca żona Leszka, Gryfina, z mężkiem. energicznem, znużonem już walką inną a pragnieniami macierzyństwa obliczem, z dumą przyszłej pani krajn, zdawała się istotą zupełnie innego świata.

Patrzała na to co ją otaczało, myślą już sięgając jutra, niepokojąc się o nie, snując jakieś dumnych marzeń pasma.

Po za temi niewiastami i ich dworem, w kątku i mroku widać było piękną, bladą z czarnemi oczyma, obwiedzionemi brunatnym cieniem tercjarkę zakonnu Ś. Franciszka; w sukni grubej i pasku białym. Była to pokutnica Bieta.

Gdy biskup wszedł i wstrzymał się u progu, żadna z modlących się, oprócz Gryfiny, nie zwróciła się ku niemu. On i ona zamienili wejrzenia groźne prawie, księżna ułękła się i spuściła oczy.

W chwili właśnie, gdy marzyła o przyszłości, stawał przed nią ten człowiek, który, choć na pozór przejednany, był zawsze niebezpieczny. W ustach jego, zwicniętych przymusem, jaki sobie zadawał, krył się złe, jakiś uśmieszek złośliwy.

Dla niego nowe pole, nowe się odkrywały widoki.

Z miejsca, w którem się zatrzymał, biskup zmierzył wejrzeniem zmarłego pana.

Uszedł zemsty jego przez zgon swój, ale mu oczyścił drogę. Na tem łożu wyciągnięty był zwyciężkim, czuł to Paweł. Zmarł nie jak on chciał na wygnaniu, odarty z władzy i jej godeł, ale na stolicy swej, w zamku naddziadów, otoczony wspaniałym dworem, pancm nad krajem, z którego biskup go wypędzić nie mógł.

Tego on nie przebaczał zmarłemu. Paweł z Przemankowa śmiercią tą był zwyciężonym. Pracował darmo, świadczyła o jego niemocy; Bóg wyrwał mu jego ofiarę.

Na twarzy biskupa wszystkie wrażenia i myśli tej chwili zlały się w jeden wyraz niezmiernej dumy, niemal pogardy. Gniewu inaczej tu objawić nie mógł.

Duchowieństwo występujące na powitanie Pasterza, przyjął za ledwie nań wejrzawszy i poszedł z wolna z modlitwą ku marom.

Oko jego, śledzące wszystko, padło na Bietę i zapaliło się złością.

I ta była nad nim zwycięzcą, i tej on ani się pozbyć z przed siebie, ani mógł zapomnieć.

Zachmurzył się mocniej jeszcze, gniew w piersi jego zamknięty, urósł i poruszał niemi.

Mógł się pocieszać jednak. Ze dwu wrogów, których pokonać nie mógł, zostawał mu jeden tylko, Leszek.

Rycerz był dzielny, ale zapamiętały. Paweł pomyślał, że ten może jak oszalałe zwierze na łożach sam na oręż nastawiony się przebić.

Szmer modlitw cichych przerywany śpiewem księży, napelniał izbę razem z wonią kościelnych kadzideł. Z otwartych okien wiatr zawiewał na płomienie grubych jak pochodnie, zwijanych świec

kościelnych, które płonęły dymiąc i światłem drzącem migotały po izbie.

Uroczysta chwila w inne dusze lała uczucia znikomości ludzkiej, w jego sercu nie odbiło się nic, oprócz mściwej rachuby jutra.

Pomodliwszy się i pokropiwszy zwłoki, gdy już miał odchodzić Paweł, ujrzał przed sobą stojącego Leszka.

Oparty był na mieczu, cały we zbroi zwycięzca ów napastliwych pogan i Litwy, wojak nieznający strachu, człowiek bez ludzkich słabości.

Ułękł by się go może Paweł, gdyby nie czuł w nim obok żelaznego męstwa, umysłu, który po za obecną godzinę dalej nie sięgał, i przewidzieć nie nie mógł.

Był to człowiek dnia jednego, któremu zawsze starczył, ale jutro nie jego było.

Paweł zrozumiał to dobrze i dlatego mniej się lękał niepokonanego wojaka, który żadnej niewiasty nie kochał, kubka nie był żadny, jadłem żył skromnem, weselości nie szukał, w trudzie znajdował rozkosz.

Cieszyło i to biskupa, że jak większa część Piastów, Leszek miłował Niemców, powierzchownością naśladować ich się starał, i u polskich ziemian wielkiej miłości mieć nie mógł.

U tych mar Wstydliwego, na których on spoczywał już po wielkim boju życia, razem z dymem kadzideł snuły się te myśli przyszłości: Boże, klasztorne, mściwe i gniewne, rycerskie i spokojne.

Leszek patrząc na stryja, który go umiłował i usynowił, w duchu poprzysięgał mu, iż dzielnicę jego utrzyma, rozerwać jej nie da i powiększy.

Późno w noc, Paweł, którego wychodzącego pokłonem do ziemi pozdrowiła Bieta, wstrząsnawszy się całym na tę pokorę, bo ją wziął za urągawisko, powrócił na dworzec swój wzruszony, zburzony, pełen myśli, które mu zasnąć nie dały.

Drugiego dnia ziemianie, zbiegający się do Krakowa, Leszek, Gryfina, widząc Kingę zapowiadającą, że natychmiast chce ujść do klasztoru, błagać ją poczęli i prosić, aby jako pani pozostała w Krakowie.

Pobożna Kinga, przerażona nalcganiem, uchodziła przed nimi. Żadna siła ludzka wstrzymać jej tu nie mogła.

Zaledwie przebrzmiały dzwony pogrzebowe, gdy już wozy księżnej Kingi i Jolanty stały gotowe w podwórcach. Godziny jednej dłużej tu pozostać nie chciały, nie mogły.

Służba ze łzami padła żegnując dobrą swą, miłosierną matkę, ludzie sisnęli się, Kinga łzy jedncj nie roniąc, strofowała łagodnie.

— Bóg mnie woła! — mówiła — na głos Jego głuchą być nie mogę.

Leszek i Gryfina ujrzeni je z rana razem z siostrą Jolantą wychodząc ze swej sypialni, w sukniach zakonnych, z włosami postrzyżonemi, bosc, sznurami poprzepasywane, obie jakby odmlodzone i wesole.

Gryfina, której serce przywiązało się uwielbieniem i wdzięcznością dla świętej niewiasty, ocierała łzy, chwytala jej ręce, z rubasznoscia Rusinki obejmując, aby zatrzymać przy sobie.

— Dziecię moje—spokojnie odpowiedziała Kinga—żadna miłość i żadna ludzka moc nie zdola mnie zmusić do męczarni waszego żywota. Na tę godzinę wyzwolenia czekałam ja życie całe, jestem szczęśliwa! szczęśliwa! Bołko mój do niebios poszedł dotrzymawszy mi ślubu, ja z wiankiem na skroni idę do nieśmiertelnego Oblubieńca mojego.

To mówiąc rozpostarla ręce, padła na kolana i pochylając się ku wiszącemu na ścianie krzyżowi z wizerunkiem Chrystusa, namiętnie poczęła całować nogi Jego.

Siostra Jolanta niemniej mając gorącości ducha, nie okazywała jej tak jawnie jak Kinga, dla której oczy i uszy ludzi obojętnemi były.

Księżna wołała w zachwycie oczy podnosząc ku niebu.

— Raduje się dusza moja w Panu, rozkoszą rajska zapływa serce moje. Oto idę do Ciebie, Panie, sługa Twój! Oto idę!

Słowom tym, w uniesieniu wyrzeczonym, towarzyszyły ruchy, znamionujące szczęście niepojęte dla drugich.

— Śpieszcie! — wołała na dwór swój. — Szaty moje niech wezmą ubodzy, klejnoty niech idą na ołtarz Pana! Nie potrzebuję nic, ta jedna sukienka uboga starczy mi do zgonu. Dlaczego ociągacie szczęście moje? czemu wstrzymujecie mnie tu, o wy, nielitościwi! Widzicie, że ducha mego już tu nie ma, więcicie ciało tylko!

Chwytając za rękę milczącą Jolantę, zwróciła się ku niej.

— Chodź, siostró moja miła, chodź! Bramy raju czekają na nas otwarte. Idźmy! bierzmy!

Ludzie słuchający plakali jedni, drudzy rzucali się na kolana, kapłani pobożni słuchając natchnionej, jak ona wpadli w zachwycenie.

Księżna z kolei ku wszystkim się zwracała o pośpiech błagając. Lękała się, aby ją przemocą jaką nie zatrzymano tutaj.

W Sądzu już wszystko było gotowe na przyjęcie dwu sióstr, które zakonnikom biednym za usługi się ofiarowały. Wśród tego zajęcia wyjazdem, księżna Kinga przechodząc z kolei od jednej do drugiej ze sług swoich, ujrzała przed sobą klęczącą Bietę.

Ta za wszystkimi, jako najniegodniejsza dotknąć szat świętej pani, się kryła. Ujrawszy ją przed sobą rzuciła się na ziemię, objęła bosa jej nogi i całować je zaczęła.

— A ty! — rzekła, pochylając się ku niej Kinga — dziecko moje! dlaczegożbyś nie miała iść z nami?

Tam łzy i pokuta lżejszemi ci się staną, droga

zbawienia łatwiejszą. O! chodź ze mną, chodź ze mną!

— Nie mogę, o, pani moja! — podnosząc ręce ku niej, zawołała Bieta. — A! nie! Tej lżejszej drogi ja wybrać sobie nie mam prawa... ciernistą iść muszę i spaloną. Jam jest karą Bożą dla niego, jam dla niego znakiem i oznajmieniem... ażali to serce kamienne nie zmięknie od łez moich... ażali i z jego powiek nie wytryśnie kropla żalu. Bóg mi wskazuje tę drogę!

Przypadła łkając do nóg księżnie i zamilkła.

Kinga błogosławiła, cichą nad jej głową odma-
wiając modlitwę.

Zdała stojący, nie wiedząc czemu, płakali.

W tej chwili zakonnik stary z siwą brodą, z głową wypelzłą, w sukni połatannej, przepasany powrozem wszedł do izby, jakby dawał znać, iż przysła chwila rozstania.

Oblicze księżnej zajaśniało, porwała krzyż, przycisnęła go do piersi i niosąc przed sobą jak tarczę w tryumfie, modląc się głośno, poczęła ku drzwiom z siostrą iść razem.

Przytomni po drodze chwyтали i całowali jej szaty. Nie widziała już nikogo, nie słyszała nic, cała w Bogu. Nie rzuciwszy okiem na ten dom, w którym lat tyle przeżyła, w którym tyle wspomnień pozostawało, biegła śpiesznie z dworca ku kościołowi, z modlitwą ostatnią na świeży grób męża.

Tu przy płycie kamiennej pokłękła raz jeszcze, a modlitwa trwała krótko i wstała natychmiast. Wozy za nią przybyłe stały u drzwi kościoła św. Franciszka, czeladź podniosła ją na rękach... i płacz dał się słyszeć rzewny.

I wozy toczyły się już po zmarzłej drodze ku Sączowi, a na zamku jedna pozostała Gryfina.

Biskup zdała przypatrywał się temu widokowi, który w nim zniecierpliwienie jakieś wywoływał. Miał nadzieję, że przez księżne nawrócona Bieta,

z nią razem pojedzie się zawrzeć w murach klasztornych.

Właśnie, gdy oczyma szukał jej na tych wozach, które niosły Kingę i Jolantę, spostrzegł idącą smutnie z głową zwieszoną i różańcem w ręku.

Cośnał się ze wstrętem.

Widok jej teraz nawet, gdy przestała być groźną, a stała się błagającą, wznawiał w nim dawne burze, wspomnienia jęczące..., nie zgryzotę występku, ale gniew niemocy i upokorzenie.

— Pawle — mówił do siebie sam — czegożes ty upragnionego, pożądanego dosięgnął w żywocie swoim? Nic! Słabi tryumfują nad tobą, urąga ci się współstwo... tłum cię palcami wytyka... przebaczone ci, bo wzgardzono tobą!

Nie! nieskończyło się życie jeszcze! Nie! Teraz się ono dopiero rozpocząć może. Leszek jeden nie sprostaj mi! Obalę go, podkopię, wywrócę. Okaże siłę swoją! Zwycięzę!

Tych słów domawiał w duszy swej, gdy do izby, w której oknie stali, wszedł mężczyzna z głową siwą, przodzielany z przepychem, kołpak trzymając w ręku.

Możny to był pan i znaczny człowiek, poznać było go z postawy, chłodu, lica dumnego, którego zasępienie choć ogólną mogło się tłumaczyć żalobą, znamionowało razem charakter zgryźliwy, podejrzliwy, niespokojny.

Szedł ku biskupowi zwolna, jako człek w domu tym poufaly, nie gość, a domownik prawie. Szedł roztargniony patrząc pod nogi, myślami ciężkimi, które w sobie niósł tak zajęty, iż nie postrzegł jak biskup usłyszawszy cbód, zwrócił się, podszedł ku niemu i tuż stanął.

Podniósł i gość blade oczy na niego, ale zaciśniętych mocno ust nie rozwarł jeszcze.

Oczyma tylko z początku mówili do siebie i zrozumieli się. Na obu znać było wielkie brzemie, wspólnie dźwigane.

Paweł rękę doń wyciągnął, ścisnęli się, przybyły

lekko skłonił się jakby do pocałowania jej, wnet odprostownał i westchnął ciężko.

Biskup spojrział w głąb izby, nie było w niej nikogo, za progiem zdała, stała czeladź jego, przyglądając się i szepejąc po cichu.

Gość był tak ubrany jeszcze jakby powracał z pogrzebu i uroczystości zamkowych, w szatach paradnych, w kożuchu sobolim, w kolpaku z piórem, z pasem złocistym. Ubranie to zawadzało mu, ciążyło, bo je coraz poprawiał. Zdradzała się natura niecierpliwa.

Długo dość, biskup i on, powitawszy się stali milczący. Wiodąc go za sobą Paweł poszedł usiąść na wezgłowie i wskazał mu ławę zasłaną u swego boku. Schylił się do przybyłego.

— Poczyna się era nowa!—rzekł szydersko.

— Lub starych dziejów przedłużenie! — głosem stłumionym, schrypłym odparł przybyły.—Nowego tu w istocie nie ma nic. Myśliwego straciliśmy, żołnierz go zastąpił, a wodza i głowy jak nie mieliśmy tak niemamy!

Paweł poruszył głowę.

— Wojewodowie oba dobrzy! nie mówcie!—odparł.—Pudyk prowadził na plac i bił się dzielnie. Leszek od niego lepszy jeszcze.

— Pewnie, ale na księcia tego za mało—począł gość.—W domu też i czasu pokoju głowy potrzeba. Nie dość utrzymać co się dostało, zdobywać musi kto chce panować. Ziemianie nasi, jak jednego tak drugiego nie lubią. Oba Niemcy są.

— Niemcy! tak!—rozśmiał się biskup—a szukajcież między Piastami takiego, coby nim nie był?

Pomilczeli trochę i biskup sam dodał:

— Mazowieckichby nam tu trzeba, ci silniejsze mają dłonie i cheiwsze serca, i nie tyle zuiemczeli.

Patrzali na się i znowu milczenie było. Biskup przynieść kazał wino, wzięli się za kubki.

— Kto chce co poczynać—szepnął Paweł—musi zawczasu.

Gość głową dał znak potwierdzający.

Tak się już musieli rozumieć dobrze, iż słów im wiele nie było potrzeba, odzywali się urywanemi wyrazy.

— Nas dwu, to mało—szeptał biskup.

— Czekajcie, niebawem więcej się znajdzie — odparł drugi. — Dać trzeba czas Łeszkowi, aby ziemian od siebie odstąpił. Łatwo to przyjdzie. Niemcy u niego wszystkiem. Niech się rozpościerają, niech biorą górę, to nam przyjaciół przyczyni.

— Rozumnie!—potwierdził biskup—ale każda by najpiękniejsza szata ma podszewkę, tak i ta wasza, która się po wierzchu dobrą wydaje. Zrazi Czarny jednych, drugich pozyska, bo w boju mu się szczęściło i szczęści, a rycerstwo to za serce ima.

Gość odpowiedział wzrokiem zdumionym i pomysławszy nieco, rzekł:

— Na to, aby sobie drułów nie zrobił, poradzi się.

— Radźcież!—dodał biskup.

Siedzieli znów popijając.

— Żegota, wojewoda nasz nie mówi co czuje—rzekł przybyły—ale mu i było i jest wszystko nie do smaku. Da nam rękę.

Biskup wesolą twarz zrobił.

— Ja, nie jestem go pewny.

— Ja zaś co wiem. to wiem, i przy swoim stoję.

— A z Sandomierza?—spytał biskup.

— Krystyn mi powinowaty—odpowiedział gość—przez niego pójdzie się dalej.

Bardzo cicho i żywo ks. Paweł dodał schylając się do ucha.

— Ale dziś, dziś trzeba wielką miłość i zgodę wykladać na miś, aby nie zwąchał co się warzy.

— Nie widzi daleko—wtrącił drugi.

— Toć prawda, ale drudzy zań.

Przeszli do innej treści.

— Gryfina—odezwał się biskup szydersko—zażąda teraz więcej niż kiedy potomka. Jużem ja jej

raz służył dobrą radą, gdy czepiec rzuciła i wrzawy a sromu narobiła Czarnemu. Teraz mam też czem ją sobie zjednam... a w oczach ludzi zohydzę!

Bystrem wejrzeniem gość mowę mu przerwał, jakby podziwiał przebiegłość biskupa, który ciągnął dalej z uśmiechem.

— Mam tu jednego mnicha Benedyktyna, niedawno ze Włoch przybyłego. Biegły jest w różnych medycznych kunsztach, i ma radę na wszystko. Niemocę wszelkie i choroby najcięższe leczy. Ma też, jak, powiada, nieochybne lekarstwo na bezdzietność.

Zdziwiony słuchacz wlepił weń oczy.

— Nie bój się, kochany Warsz dodał biskup, widząc zdumienie.—Mnich bałamut jest i samochwaleca. Nie uczyni on nic, ale uwodzić ją będzie, a gdy wezmą co im doradzi, splugawią się w oczach ludzi.

— A cóż to za lek taki? — spytał Warsz.

— Nie łączno by go kto po dobrej woli kosztował — mówił Paweł — ale Gryfina gotową jest na wszystko! Słubowała już św. Idziemu i innym bezskutecznie, posłucha mnicha mojego. Jest Salernitanin! Opowiada się też jako uczeń Wielkiego Alberta.

Warsz słuchał z ciekawością nateżoną.

— Samochwał ten i kłamca, bo za takiego mam go choć suknie nosi zakonne, mówi, iż zna gady takie, węże i ropuchy, których pożywanie przez obojga małżonków, niechybnie ich potomstwem obdarzy.

Ks. Paweł śmiać się począł.

— Gryfina zje pewnie co jej poda—mówił dalej—a jako Ewa prawa poda mężowi też część owocu zakazanego. Benedyktyn lubi prawie i chlubić się. Gadami ich nakarmiwszy, rozgłosi.

Warsz ruszył tylko ramionami. Rzecz mu się zdała, lub do wiary niepodobna, albo błaża. Paweł zaś niepomierne się nią radował jako dobrym wynalazkiem, powtarzając żarty o gadach, któremi nowego pana żywić miano.

Gdy tak rozmawiali, z zamku powracających kilku zaszło na dworzec do biskupa. Z liczby ich poznać było można, że przez ostatnie lata zjednać sobie potrafił jeżeli nie przyjaciół poważniejszych, to przychylnych i nie odwracających się od niego między ziemiany.

Pierwszy ukazał się wojewoda Żegota, o którym mowa była, za nim Krystyn kasztelan Sandomierski, powinowaty kasztelana krakowskiego, który tu ich uprzedził. Przychodzili i inni na pogrzeb przybyli, tak, że w godzinę na dworcu przy ulicy Wiślniej, tłumno już myło.

Zastawiono stoły obficie, bo tem sobie zawsze ludzi jednał, że ich karmił a poił pańsko a dostatnio.

Wkrótce też pogrzebowego smutku wcale tu czuć nie było, a mało kto, oprócz tych co mu do łowów służyli, wspomniał Pudyka.

O Leszku też ostrożnie milczeli wszyscy.

VI.

I znowu cztery upłynęły lata.

Leszek Czarny panował, bijąc szczęśliwie Litwę, a głosy chodziły, iż patron ulubiony, archistrategus Michał, dopomagał mu niewidzialnym mieczem przeciwnym wrogom.

Biskup Paweł toż samo wiódł zawsze życie, spiskował tylko teraz gorliwiej może i goręcej, niż za Bolesława, bo mu długa bezkarność dodała ducha i uzuchwalała. Nikomu nie było tajno, że wiódł na Kraków Konrada Mazowieckiego, któremu szersze panowanie bardzo się uśmiechało.

Gorąca krew pierwszego Konrada, odżywała się w tym potomku.

Krzyżakom oddawszy kawał ziemi, której odzyskać żadnej już nie mieli nadziei, chciano się Krakowem i Sandomierzem zapłacić, a biskup najlepszą przyszłość obiecywał.

Nie powiódł się zamach na Sandomierz, przysłała potem sprzymierzona Litwa, i tę Czarny przegnał i pobił. Jakby nadomiar klęsk, głód i po nim mór straszny kraj spustoszył.

Wszystkie ks. Pawła knowania i spiski spełzły na niczem, ale się nie wyrzekł ich, i nie zapoprze stał przeto. Trwał przy swoim.

Miedzy nim a Leszkiem, wojna już prawie była otwarta. Biskup nie pokazywał się w Krakowie, bo tu mu głośno nwięzieniem grożono.

Z pierwszej niewoli groźbą kłatwy i interdyktem wyzwolony, Paweł śmiał się z tych pogłosek.

— Nie ważą się raz drugi!—mówił:

Miał za sobą znaczną część ziemian wszędzie jawnie jeszcze nie występującą, ale uzyskaną i pewną.

Niekiedy powtarzające się posłuchy o tem, że Czarny mu więzienie obiecywał, to go gniewały, to do śmiechu pobudzały.

Nie będą śmieli!—powtarzał.

Siedział pod ten czas w Łagowie biskup, licznym otoczony dworem, bo Krakowa nie lubił, jak mówił, a może się go w istocie obawiał. Tu się doń zjeżdżali potajemni sprzymierzeńcy, tu odbywały narady, ztąd posłowie jawnie prawie jeździli podżegać Litwę do najazdów, książęta Mazowieccy już spokrewnieni z Kunigasami litewskimi wyciągali ich z lasów.

Nie poszczęściło się w Sandomierzu, bo Leszek przegnał zwycięzko najezdców, biskup miał tę pociechę przynajmniej, że go niepokoił i nie dawał spoczynku.

Groźniejsze daleko sprzysiężenie w przyszłości się sposobiło, bo ziemianie obiecywali wszyscy się za

Konradem ogłosić, byle się pokusił o Kraków. Czyniono ku temu przygotowania.

W Łagowie, w którym biskup podstarzały i ocieżały najczęściej przebywał, dawny dwór co roku przybudowywano, szopy przystawiano bo ich nie starczyło dla przybywających gości i dworu.

Nigdy tu pusto nie bywało, rzadki dzień by do stołu pół setek ludzi nie zasiadł.

Nakarmić było ich trudno, ale biskup swojego grosza, kapituły i kościelnego majątku nie szczędził, a dziesięciny zawczasu za gotowe pieniądze umiał sprzedawać. Weselono się i zabawiano ochoczo. Biskup, gdy gniewnym nie był, zachęcał do dobrej myśli i pośmiać się lubił.

Otaczali go teraz ludzie nowi, ale kubek w kubek do znanych już nam podobni, krzykacze a śmialki, pochlebce i darmozjady.

W laskach największych był Kaczor, ziemianin sandomierski, człek do wszystkiego, bo choć rycerskiego stanu i dobrego rodu, razem gęślarz, śpiewak, wesolek, do wszelkich sztuk zręczny. Z owym słazkim księciem, co go Skoczkiem zwano, o zakłady chodził do przesadzenia przez kłody, z innemi o końskie gonitwy. Na nieosiódlanego, bez uzdy skoczywszy, najdzikszym kierował i zmuszał do posłuszeństwa.

Przytem równie bystry był jak silny i zręczny, przewąchał prędko nieznajomego, dobył z zanadru każdego co najgłębiej leżało skryte. A wieczorem przy uczie wydrwić, rozśmieszyć, spoić umiał jak nikt.

Niczego też wyglądał, twarz miał kragłą, dosyć przystojną, choć nos przyplaszczony trochę i za mały, oczy żywe, usta rozkoszne, uśmiech biorący za serce. Gibki, silny, choć już nie młodzik, mógł jeszcze za takiego uchodzić. Biskup, którego w złych godzinach rozrywać umiał, lubił go bardzo.

— Bez Kaczora jak bez ręki!—mawiał, gdy go nie było.

Wysławszy go tęsknił za nim. Ubierał też pięknie ulubienca, a często gęsto, rzucił mu garść groszy. We dworze co kto chciał wyrobić u biskupa, przez niego najpewniej wyprosił. Płacić sobie kazał za to, ale co chciał wyzyskał.

Tegoż dnia w Łagowie dodnia przyszedł Kaczor do biskupa, który się jeszcze wyciągał na łożu. Stał przed nim coś poprzątając z dnia wczorajszego na stole, a twarz miał co mu się rzadko trafiało. posepną.

— Cóż tam? — zapytał biskup ziewając — będziemy dziś niedźwiedzia szczuli. co go łowcy żywcem wzięli?

— He? niedźwiedzia? — odezwał się Kaczor. — Ja bo lękam się, aby nas nie poszczuto...

— Coś ty oszalał? — spytał Paweł.

— Nie. Na sercu mi strasznie markotno — rzekł sługa — słyszę, że o mil kilka kręcą się jakieś oddziały Leszkowe, kto wie co one mają na myśli i czego tu szukają.

Ks. Paweł śmiał się z tej obawy.

— Szukają po czasie litwinów, którzy już z lupem do domu poszli. Cóż za dziw, że się tu Leszkowi ludzie kręcą! Czyś już i ty tchórzem się stał!

— Wolalbym ażeby ich w bliskości nie było.

— Co ci do głowy przystąpiło — fuknął biskup. — Mieli czas na mnie się zasadzać, gdym bliżej był, a nie ważyli się.

— Ja im nie wierzę! — westchnął Kaczor.

Biskup, który wstawać począł, oburzył się na niewczesnego proroka.

— Idźże ty mi precz z baśniami temi! — odparł. Kaczor się nie dał wypędzić.

— Cóżby to W. Miłości szkodziło — rzekł — gdybyście trochę gdzieindziej posiedzieli, a nie w tym Łagowie, gdzie dworzysko jak na dłoni, i wiedzą o was zapewno, że tu jesteście.

— Oszalałeś! — przerwał ks. Paweł zniecierpli-

wiony mocno.—Milczże mi, albo precz idź! Łagów ci się przejadł, alboś sobie gdzieindziej podwikę upatrzył.

— Nie— rzekł Kaczor — nie! Niewiem sam co mi jest! Niepokój mnie ogarnia. sny mam brzydkie, i opędzić się im nie mogę.

— Sny, głupie—zamknął Paweł.—Możesz-że ty przypuścić, aby się oni po wtóry raz na interdykt i klątwę narażali?

— He?—ruszając ramionami, głową i głos podnosząc, począł Kaczor.—Niech mi W. Miłość przebaczy, ale zapominacie o wszystkim.

Wszak ci arcybiskup gnieźnieński nie żyje, drugiego dotąd nie ma jeszcze, choć gadają, że Swinkę mają tam posadzić. A któż rzuci interdykt za W. Miłość?

Uwagą tą biskup nieco się zdał uderzony. Stał i zadumał się.

— W istocie rozum masz rzekł— tylko nim zanadto świdrujesz!

— Czy ja go mam o tem nie wiem—odparł sługa—ale to pewna, że W. Miłość nadto być ostrożnym nie możesz.

— Gdyby oni chcieli zębów na mnie próbować, czas po temu mieli — odezwał się Paweł.—Wiedzą dobrze, iż targnięcie się na władzę biskupią, płazem nigdy nie uchodzi.

Biskup ubrany przeszedł się po izbie raz i drugi, zamyślił i spytał Kaczora, który jeszcze coś ustawiał.

— Wielu ludzi zbrojnych mamy z sobą?

— Było ci ich pewnie z półtorasta, może i więcej. Ja liku nie wiem, bo to nie moja rzecz a pana Zakliki. Połowa z tych po wsiach rozstawiona odpoczywa, z reszty dużo się rozlazło, gdyby policzyć pilnie dwudziestuby może zebrało się wszystkiego.

Kaczor wyszedł nie otrzymawszy odpowiedzi, a biskup jakby o rozmowie tej zapomniał, z bardzo wesołą twarzą do izby się wytoczył, gdzie już nań

czekano z rannym obiadem, który nie miał zaraz z łóżka wstawszy pożywano.

Biesiadników dosyć było, lecz rozpatrzywszy się, nie wiele po nich spodziewać mógł gospodarz, do misy byli dziełni, do gadania skorzy, zbyt rycersko z oczów im nie patrzyło.

Rozmowa poczęła się zaraz o tym młodym niedźwiedziu, którego łowcy żywce wzięli, a mieli go po południu szczwac psami, między parkanami, którą zabawę ks. Paweł lubił, jeżeli łowów nie było.

Dzień robił się skwarny, z domu jechać w las nie chciało się nikomu, czekano popołudnia.

Biskup jako był nawykł, zjadłszy i napiwszy się, siadł drzemać czas jakiś, niekiedy legł na chwilę.

Właśnie oczy był przynknął i zabierał się do tego poobiedniego spoczynku, a gawieź porocho-dziła się szukając cienia i chłodu, czeladź po panach resztki sprzątała, gdy naraz ziemia się zatrzęsała. zahuczało gwałtownie.

Zerwał się ks. Paweł na równe nogi—i wyjrzał.

Dokoła dom otaczali zbrojni, a w sieni Kaczor krzycząc już się z kimś borykał.

Biskup co żywiej rzucił się we drzwi tylne, widząc, że w istocie zaskoczony został, jak mu z rana sługa przepowiadał, ale otwarłszy je i lecąc pędem wpadł w ręce ludzi, którzy stali czatując nań. Choć ciał bronił się rozpaczliwie, przemogli go liczbą. njęli wprędee i z sobą powiedli.

Głowy nawet nakryć czem nie miał, a na sobie letni przyodziewek dla skwaru i na nogach skórznie miękkie, w których po domu chadzał.

Wołał wielkim głosem Kaczora i swoich, ale tego pierwsi wchodzący spełali już w sieniach, a co było biskupich ludzi, pierzchnęło jak wymiótł.

Rycerstwo bezbronne, bo oreża pod ręką nie miało poniosło się do lasu, dwór po wyżkach i szopach się pochował, czeladź po za płoty i ogrody poprzypadała.

Bronić się ani myśleć mogli, nie było też komu.

Oddział wysłany dla pochwycenia biskupa liczył więcej półtoraśta ludzi, doskonale zbrojnych, a przez Leszka tak wyuczonych, iż dwa razy silniejszy zastęp nie był dla nich straszny.

Nieopodal stał przygotowany wóz, bo na koniu choć jeszcze jeździł ks. Paweł na łowy, jużby go w dalszą drogę uprowadzić nie było można. Wiek i tusza nie dozwalały.

Zbrojni ludzie na rękach go podnieśli, do wozu rzucili, siadło z obu stron na straży po trzech drabów i w konie!

Wóz potoczył się żywo, w kółko otoczony częścią oddziału, gdy tymczasem reszta jego, wedle obyczaju plądrowała domostwo, i co w nim lepszego było, rozgrabiało.

Kaczor związany wymodlił się, aby go dla usług biskupa z nim wzięto, dano mu konia, którego dwóch między siebie wzięło, a ręce mu spętano.

— Stańco na mojem—pomyślał Kaczor, który nigdy nie dawał się złamać na duchu.—Biskupa nie zetną, ale odsiedzi rekolekcje dobre i schudnie trochę.

Nie taili ci co ich prowadzili z sobą, że znowu do Sieradza rozkaz mieli wieźć ks. Pawła, gdzie zamek był mocny, ucieczka z niego trudna, a dostojnemu więźniowi mogło być dość wygodnie. Stał teraz pustką cały.

W pierwszej chwili biskup wyrwał się, kłął, łajał, groził, lecz po tym wybuchu opanował się, uspokoił, milczał. Ci co go wieźli, ile razy mu w oczy spojrzeli, woleliby byli łajanie niż wejrzenie. Odwracali się od niego milezący.

Ani wilk, gdy go ujmą w jamie, straszniej nie patrzy.

Kaczor odzyskawszy humor, w pół drogi już śmieszył swych stróżów, którzy mu za to postronków popuścili.

W Sieradzu wszystko już było przygotowane na przyjęcie biskupa. Pustego teraz zameczyska powię-

kszeno teraz załogę, a starszym nad nią mianowany był ulubiony Czarnemu Żelislaw Kaniowa, więcej nawykły do trzymania żołnierzy w polu, niż do strzeżenia więźnia i zamku.

Wprowadzony do tej samej izby, którą niegdyś zajmował, złamany drogą pośpieszną biskup, rzucił się na twardą ławę i pozostał w jakimś odrętwieniu długo.

— Zwyciężonym, zawsze zwyciężonym być! — powtarzał w duchu.

Myśl ta do rozpaczę go doprowadzała. wrzała w głowie, rozdzierała piersi.

Tyle sił zmarnowanych, tyle przebiegłości, rozumu, czasu, pieniędzy, ofiar nadaremnych, zmarnowanych! Miał do czynienia ze słabszym od siebie nieprzyjacielem, a podolać mu nie mógł. W czem więc spoczywała tajemnica zwycięstwa?

Nie chciał przypuścić, ażeby ona w sprawiedliwości sprawy leżała, wierzył tylko w siłę.

Wśród tych bolesnych rozmyślań, Kaczor, który się wprosił do posług jego, wszedł z ludźmi, niosącymi przybory potrzebne, sprzęt, pościel, i co do wygody służyć miało. Biskup, do którego mu w drodze przybliżyć się nie dozwolono, nie wiedział o nim i zdziwił się postrzegłszy przy sobie jedyne, pozostałego, wiernego sługę.

Ten zajmował się posłaniem, nie odzywając się nawet przy obcych, spełniał swój obowiązek milcząc. Pocieszyło to nieco ks. Pawła, że go miał z sobą bo człowiek przebiegi mógł mu być użytecznym.

Kaczor był tak roztropnym, iż nie wspominał mu tego co z rana w dniu uwięzienia, mówił o swoich znach i przecuciach.

Dopiero gdy czeladź obca się porozchodziła, rzekł:

— Odpoczniesz tu sobie, Miłoś! Wasza, a w Bogu nadzieja, długo to nie potrwa.

— I zapłacą mi oni za to drogo! — dodał ks.

Paweł—chybabym nie był żyw! Przysięgam na rany Pańskie, na sucho im to nie ujdzie! nie!

Drugi raz więzi mnie Leszek! na jego karb, na szyję... kładnę krzywdę moją i kościola!

Zamilkł.

Od następnego poranku rozpoezęły się dni długie niewoli jednostajnej, tej, w której więzień traci w końcu czasu miarę i dni liczbę. Codzień niezmien- nie powtarzało się toż samo.

O jednej godzinie budziła się straż za drzwia- mi i gwarzyć zaczynała, przynoszono jedzenie, wcho- dził Kaczor, mówił o pogodzie... Biskup próbował się modlić, gniew i myśl zemsty przerywały mu modli- twę. Jadł potem, drzemal, bił się w pośród tych ścian ciasnych i dusił, a po długiej bezsenności, go- rączkowym snem usypiał.

Na zamku przez okno widać było zawsze tych samych żołnierzy załogi wiodących konie, noszących wodę, grających w kości, pasujących się z sobą, lub po piwie śpiących w cieniu.

Na zamku pusto było, cicho, dusząco

Po kilku tygodniach tej męczarni, podobnej do katuszy, gdy zbrodniarzowi sznurami ręce i nogi po- wiązawszy, zwolna mu członki ze stawów wyciągają. biskup nie wiedział, czy spędził tu dni czy lat kil- kanaście. Wszystko się zmieszało w szarej myśli mrokach, pierwsza niewola z drugą, młodość z dnia- mi teraźniejszymi.

Spodziewał się czegoś, odczwy, głosu, poselstwa, żądania, nie przybywało nic.

Nawet pleban miejscowy, dawniej mu znany, nie przychodził go pocieszać. Biskup nie wiedział, iż zmarł był, a obcy go zastąpił.

Jednego dnia śmiertelnie zmęczony ciszą tą i je- dnostajną rozmową z Kaczorem, który z zamku nie miał prawa się oddalać, posłał prosić proboszcza.

Starszy, Żelślaw pozwolił go przyprowadzić i pod wieczór przywiedziono go.

Zdziwił się biskup widząc twarz nową, czleka młodego jeszcze, z wejrzeniem bystrem, pozoru surowego, powierzchownością zdradzającego, że świat nie był mu obcy.

Zwał się Albertem, a pochodził ze znanej rodziny Różyców. Młodość spędził jak Dzierżykraj w Paryżu i Włoszech. To już go mogło nienawistnym uczynić Pawłowi, który półcudzoziemców i mądrałów nie lubił.

Na ten raz jednak i Albertus Różye był mu pożądanym. Lecz wylać się przed nim, użyć go do swej sprawy, jak chciał biskup, nie mógł, czuł w nim przeciwnika.

To tłumaczyło, dla czego nie śpieszył na zamek, nie narzucał się pierwszy i wzywać go aż było potrzeba.

— Widzicie co mnie za to. po wtóry raz w życiu spotyka—odezwał się biskup dumnie do niego.—Nie ma już dziś bezpieczeństwa nawet pod tą czarną suknią naszą, ani na stolicach, na których siedzimy. Przyszły Antychrysta czasy, tatarskie rządy.

Różyc milczący westchnął tylko.

— Nad śmierć cięższe jest milczenie grobowe w tych murach—ciągnął dalej Paweł.—Nie słyszeliście nic, mój bracie? nie macie czemuście mnie pocieszyli!

— Nie wiem zgola nic—odparł ks, Albert spokojnie. Siedzę tu na uboczu, ludzi obcych nie widuję. Ci co tu żyją nie wiele na świat wychodzą.

— Nie z Krakowa? nie ode dworu?—pytał popędliwie Paweł.

— Gdyby co było—rzekł ksiądz—Wasza Miłość prędzej odemnie wiedzielibyście o tem na zamku.

— A inni książęta?—badał biskup.

Ks. Albert po pewnym namyśle począł zwolna:

— Księciu Przemysławowi poznańskiemu żona jego, Lukierda, zmarła nagle. Baśnie o tem plotą ludzie.

— Więc choć baśnią mnie rozerwicie, przez łitość, na Boga—rzekł biskup, wskazując na ławę.— Milosierdzie nademną, zabitym tą ciszą, mieć powinniście.

— Baśń to zapewne musi być—odezwał się pleban—boć niemożliwa, aby pobożny książę poślubiwszy niewiastę, którą wszyscy opowiadali, młodą, nadobną, powolną, dobrą, miał ją sam na śmierć skazać jak ludzie zmyślają. Powiadają drudzy, że slugi ją, niechętnie pani, udusiły, a między poselstwem wielki jest żal tej panu.

Biskup, który znał co się na dworach działo, lepiej od ks. Alberta, słuchał z powątpiewaniem, ciekawością, zajęciem.

— Księżcia Przemka żona!—rzekł powoli.—Wiem ci ja o niej? Nie była ona stworzoną, ani dla tego pana, ani do naszych dworów zniemczalych. Nasłuchałem się o niej, bo dawno o ich życiu rozpowiadano. Biednej pomorzance tęskniło się za swemi i za domem, pieśniami i obyczajem swoich ludzi. Zmuszali ją do niemieckiego życia, płakała.

Chodziła z prostym ludem bratając się, bo u niego podsłuchiwała pieśni do swoich podobne, a językiem własnym rozmówić się mogła.

Niemkinie, co jej służyły, tak ją nienawidzić musiały, jak ona chłopstwo kochała. Księżciu Przemkowi musiała się zdawać zbyt prostą niewiastą i jakby chłopianką. Prędko ją zbrzydził, choć książęcej krwi była, nie gorszej od niego. Z tego wszystkiego mogło morderstwo powstać.

Dumny panek mieć je będzie na sumieniu i pamięci!

Ostatnie słowa wyrzekł z radością, którą nienawiść w nim zbudziła.

— Przemkowi zachciało się pewnie—dodał—dostojejszej jakiejś żony, kędyś z królewskiego gniazda wziętej niemki. Dostanie ich dużo do wyboru, te się go nie ułęką.

— Wielka żalność po Lukierdzie w Poznaniu — rzekł ks. Albert — bo wielka dla nich była miłość ludzi. Za żywota też pono ucierpiała wiele. Wieczny jej spoczynek.

— Więc Przemko miał ją dać udusić? — zapytał biskup.

— Prosty lud tak glosi, ale jego baśniom nikt wiary nie daje — dokończył pleban.

— Prawdy dojść trudno, gdy z księżęty sprawa — zawolał Paweł. — Jeżeli winien Przemko, będzie w Poznaniu klasztor jaki fundował, wiosek mu nada kilka, a grzech mu odpuszczają.

Szydersko rzekł biskup z gorączką, która z każdego wyrazu jego tryskała. Ostrożniejszy pleban, spuścił oczy i nie na to nie odpowiedział.

— Na sądzie ostatecznym prawdy się dowiemy! — zamruczał paweł.

Spojrzał w okno ks. Paweł.

W podwórzu, którego już znał wszystkich mieszkańców, postrzegł postać nową, i z pożądaną ciekawością, począł się jej przypatrywać.

Był to ktoś w sukni podobnej do noszonych przez duchownych, zmierzający ku baszcie, którą ks. Paweł zajmował.

Pierwszy raz od osadzenia tu więźnia, zjawiał się obcy.

Zajął też biskupa, który cały do okna się przychyliwszy, pilnie mu się przyglądał. Przybysz podniósł głowę do góry, a ks. Paweł dostrzegł rysy dobrane mu znane, których przypomnieć sobie nie mógł, bo odzież duchownego wskazywała.

Pleban, który przed chwilą był tak pożądanym gościem, teraz się dlań stał zawadą. Wstał, dziękując mu za odwiedzinę, i pożegnał, chcąc się pozbyć conajprędzej. Stało się to tak niespodzianie i prędko, że ks. Albert odprawy tak rychłej nie przewidywał, chociaż wstał i odejść się zabierał, zmięszał się nieco.

Mógł się domyśleć, że biskupa mimowoli czemś obraził.

Zmierzał już do drzwi, gdy te się otworzyły i jeden ze stróżów więziennych wpuścił człowieka, długą suknią czarną przyobleczonego, który się klechę wydawał.

Był to ten sam, przez okno widziany przybysz.

W progu pleban i on spojrzeli na siebie. gość spuścił oczy i wyminąwszy go, do biskupa pośpieszył.

Ks. Albert już był za drzwiami. Ks. Paweł witał się, lecz oba niespokojnie na nie spoglądali.

— Nie wyda mnie?—szepnął przybywający.

— Nie zna was przecie—odparł biskup—a zobaczywszy księdza, podejrzывать nie będzie.

Z bliska widziany gość, chociaż miał na sobie suknie duchownego, zdradzał się, że nim nie był, postawą, ruchami, naostatek wcale nie postrzyżoną, ani ogoloną głową. To się jednak i innym księżom trafiało, że do synodalnych ustaw niezbyt się ściśle stosowali.

W tym jednak, najmniej podejrzliwy dopatrzyłby źle noszonego przebrania.

W sukni tej krył się w istocie Krystyn, kasztelan Sandomierski, który chciał niepostrzeżony z biskupem się naradzić bo do jego należał obozn.

Biskup ścisnął go wzruszony, z czułością, jakiej oddawna nie okazywał nikomu. Wdzięčen mu był, czując się przez wszystkich opuszczonym.

— Przecież znalazła się jedna dusza litościwa—zawołał głośno i popędliwie, niezważając na strażę, które u drzwi słuchać go mogły. — Wszyscyście się mnie zaparli! Radźcie! ratujcie! wyzwolicie! Przeklęty Czarny chce, abym się tu udusił, lub jak Przemko żonę, on mnie tu da umęczyć. Niemasz sposobu by mnie ztąd wywieść? wyzwolić? wyprowadzić?

Krystyn, z którego twarzy widać było przebiegłość wstrzemięźliwą i baczność, dał znak biskupowi,

aby mówił ciszej, i sam głos zniżył, uchodząc od drzwi jak najdalej.

— Nie bój się — odparł biskup — jestem pewny, że tam rozumny mój Kaczor na straży stanął i zabawia wartę, aby nie dać podsłuchiwać. Mówcie! na Boga! co mi przynosicie?

Krystyn palce położył na ustach.

— Tę tylko pewnoś wam przynoszę, iż ziemianie nasi i krakowscy coraz więcej od Czarnego odstają. Ks. Kourad Mazowiecki gotów jest przyjąć ich ofiarę.

— Tak jak Opolski! — przerwał Paweł — przyjąć! a potem doma siedzieć z rękami założonemi, aż póki dojrzały owoc sam mu do ust nie wpadnie?

— Kourad inną ma krew! — rzekł Krystyn.

— Dla czegoż się ociąga?

— Bo my ani dziś ni jutro gotowi nie będziemy — rzekł kasztelan. — Chcemy na swem postawić, ale siłę musimy zgromadzić, aby nie pójść pod miecz jak ci, których Bolesław pobił u Bogucina. Nie pójdziemy plocho.

— A musicie dacie zamożyć na tym zamku przeklętym — krzyknął biskup — aby oczy moje zemsty nie oglądały.

— Pośpiech wszystko zgubić może — odezwał się przybyły. — Uwolnić was z więzienia znajdą się sposoby inne... Dla wyzwolenia schronienie się znajdzie.

Nie dając mu mówić, Paweł z lekka go odtrącił. Ciężkie westchnienie z piersi mu buchnęło, za głowę się ujął rozpaczliwie... zamilkł.

Kasztelan ciągle niespokojnie się oglądając — dodał.

— Słysząc, że Czarny, choć interdyktu się nie lęka, zgodę zrobić byłby skłonny.

Ks. Pawłowi oczy pojaśniały, ręce rozerwał.

— Niech przyśle! niech zażąda zgody! Zrobię ją! Napiszę mu co zechce... byłem wolnym był dla pomsty nad nim!

Bezemnie wy—dodał wybuchając—ani ty, ani Warsz, ni Konrad wasz, nie zrobicie nigdy nie!

Wyzwolić mi się potrzeba za jakąkolwiek cenę. aby was budzić, podżegać. nie dać usnąć, nie dozwolić rozkładać na lata co dawno wykonać się było powinno. On w siłę rośnie, a my słabniemy!

Poezał chodzić po izbie niespokojny.

— Kupcie wolność moją za najwyższą cenę!—dodał.

Kasztelan coś szeptal starając się go uspokoić lecz Paweł już mało go słuchał.

— Nie mieliście więc z czem przybywać do mnie — dorzucił wreszcie. — Jedźcie. wracajcie! Nie dawajcie im usnąć! Naciskajcie na ks. Konrada niech nie zwleka! Ja zawrę zgodę, pojedę do Krakowa. aby mu resztę ziemian wydrzeć. Zostanie sam z niemeami swemi i uchodzić będzie musiał sromotnie!

Uwięziony jeszcze biskup Paweł już w myśli czuł się zwycięzcą. Czas stracony go bolał.

— Jedź—wolał do Krystyna.—Z nami Warsz. Żegota wojewoda, Janusz, wodzowie wszyscy. Małoż nas będzie? Pójdą inni za nami!

— Żegota?—rzekł Krystyn z niedowierzaniem.

— Wojewody jak siebie pewien jestem. a za nim ziemianie pociągną! Niech Konrad przyłączy się z Mazurami. zdobędzie Poznań. zawojuje Śląsk. Krew ma rycerską, wojak jest. Kraków znowu uczynimy stolicą wielką, będzie na niej wszystkim ziemiom panować.

Mówił w uniesieniu z pośpiechem i gorączką, nie dając się odezwać Krystynowi.

— Chcecie uwolnienie i zgodę przyspieszyć, naglijcie aby Gniczo dłużej nie stało opróżnione. Pasterza niema, głowy niema i myśmy bezbronni! Złękna się klątwy, gdy się Boga nie boją! Idź. śpiesz!

I kończąc, niemal go wypychał za drzwi.

— Bezemnie nie zrobicie nie!—mówił—przepa-

„Ile znaczenie wasze, prawa stare! Leszek z Niemcami w niewolę was postrzyże! Rycerstwa nie stanie, żołdacy będą tylko... Idź!”

Cofał się Krystyn do drzwi. Biskup zadyszany stanąwszy w progu, za odchodzącym już, niepomny, że go strażę słuchać mogły, powtarzał jeszcze.

— Idź, a śpiesz!

Gdy Krystyn znikł mu z oczów. ręką drżącą krzyż zrobił za nim i odetchnął lżej.

Nadzieja swobody świtała!

W kilka dni później nadjechali od Leszka wysłani pośrednicy. Tajemni przyjaciele biskupa, z nim razem będący w spisku, potrafilo do kroku tego księcia zniewolić. Obiecywali, że biskup dwakroć przecierpiawszy, spokojnym zostanie i wiernym księciem.

Gdy do umowy nowej przykładano pieczęcie. Pawłowi wyrwało się z ust mimowolnie.

— Mądrzy będziecie, jeśli mnie pochwycicie raz trzeci!

VII.

Ci co znali Kraków starzy, lub o nim od rodziców słyszeli, porównywając go z nowym. dawne go grodu w tej osadzie świeżej znaleźć nie mogli.

Po tatarskich najazdach i zniszczeniu stało się tu co dawniej z Wrocławiem. Obsiadło go mrowie gęste z niemieckich przybyszów, objęło, zapanowało w nim. W ulicach słychać już tylko było ich mowę, a ci ziemianie wiecey i możni, co tu dawniej przewodzili, bronili miasta i rządzili się w niem, stali się gośćmi; stare mieszczaństwo wyginęło, rozpierzchło się. znikło... w powodzi tej osadników utonęło.

Tak już było za Bolesława Wstydliwego, teraz

za Leszka, rosło to jeszcze i bujało więcej. Czarny czuł to dobrze, iż ziemianie serca do niego nie mieli, jemu przypisywano srogie prześladowanie po zamachu księcia Opolskiego.

Lękając się Krakowian, ściągał tu Leszek coraz tłumniej przybywających Szwabów, Sasów, Frankonów, Ślązaków. którzy osiadali na prawie swoim niemieckiem, na wielkich przywilejach i nadaniach, sami sobie panowie, bo ich nikt tknąć nie śmiał.

I jak w mieście, podobnie wyglądało na zamku. Chociaż księżnie Gryfinie z początku obco było pośród Niemców, i ją sobie zjednali. Miała też oprócz nich garść swoich Rusinów i Węgrów.

Puszczony na swobodę biskup Paweł nie stracił ani chwili i ciągnął dalej knowania swoje, ale dwa lata trwały poduszczania jego, a książę Konrad wahał się jeszcze i wystąpić nie śmiał jawnie przeciw Czarnemu, którego się lękał. W ciągu tych lat Leszek jednak coraz mniej straszny się stawał.

Nie było nadeń męźniejszego wodza w polu, ale w domu pan był nieogłębny i nieprzewidyjący. Wojna była jego powołaniem.

Ufał w swój oręż, o resztę się nie troszczył.

W tym roku już jednak i jemu oczy się otwierać poczynąły, przewidywał, że wkrótce będzie się musiał ciężkim bronić napasciom. Donoszono mu o gotujących się nań zamachach, ale nie wiele go to frasowało, bo w wojnie się kochał.

Dwór Czarnego, złożony z bardzo rozmaitych ludzi, cały prawie cudzoziemców był pełen. Polaków miał przy sobie nie wielu. Z pozostałych, zniechęconych dawanem Niemcom pierwszeństwem, coraz to się kto wysuwał, wymawiał i znikał. Niemcy z Węgrami i Rusinami zajmowali wszystkie prawie ważniejsze przy dworze urzędy. Ze starych rodów krakowskich, co dawniej same prawie panów otaczały, nie dawali przybyśże docisnąć się tu nikomu. Nie widać też ich tu było. Toporczyków znaczna część

precz się wyniosła, innych mało na Wawelu widywano. Leszek zastępował ich coraz nowych z Niemiec i Węgier ściągając ludzi. Nie skarżyli się na to nigdy, pan był miły, cierpliwy a mężny. Zdawał się zło do ostatka dopuszczać, aby potem leć nciąć jednym miecza zamachem.

Księżna Gryfina trwożliwszą była, lecz choć czasem ostrzegała go, nie bardzo jej słuchał. Dawał mówić, nie spierał się, a z drogi swej zwrócić nie dawał.

Gdy swoich zabrakło, musiał robić wszystko Niemcami i nie skarżył się na to. Niemczał też on sam coraz jawniej i zdawał się z tego szukać chluby.

Otto Horn jeden z powierników jego, wpadł tych dni, zmieszany i niespokojny do księcia.

Wszystko, czego się dotąd dorozumiewano tylko, coraz bardziej, jawniej występowało, jako groźba nieunikniona.

Otto od dawna już Leszka skłonić się starał do działania, a książę stanowcze wystąpienie zwlekał.

— Na Boga ukrzyżowanego! — odezwał się Otto — niema się już co ociagać! chwili stracić nie można. Trzeba zapobiedz złemu. Otaczają nas wrogowie.

Czarny słuchał i ręką przebiecrając brodę, tak stał obojętny, jakby mu o rzeczy błachej lub nieprawdopodobnej donoszono.

— Cóż nowego? co nowego? mój Ottonie! — odezwał się biorąc do rąk mieczyk i z roztargnieniem przypatrując mu się. — Cóżes znowu się dowiedział?

— Bogdajby fałszem to było — odparł Niemiec z westchnieniem ciężkiem. — Wszyscy W. Miłość zdradzają! Żegota wojewoda krakowski, Warsz kasztelan, z zebraniem ziemiany, pociągnęli potajemnie naprzeciw księcia Konrada. W obozie jego jest już biskup, ten stary zdrajca, który go pierwszy namówił i ściągnął, Janusz wojewoda Sandomierski, Krystyn kasztelan, cały tłum sandomierski także z nami. Przy nas prawie nikt nie został.

— Jakto, nikt?—odparł zimno Leszek.—Wczoraj byli tu Leliwy, był Jarosław Śreniawa, było dwu Zaprzańców i Różyce.

— Tak i wczoraj byli ci i innych wielu. dlatego, aby pokryć swą zdradę, a dziś nie ma ani jednego. Uszli wszyscy.

Leszek podniósł głowę, nie strwożyło go to bynajmniej.

— Uszli?—zapytał.—Ba! obejdziemy się bez nich.

Otto nie podzielał tego spokoju pana, pomszony był i wylekły; przelać w Leszka nie mogąc obawy swojej.

Tuż za Ottouem wbiegła do komory książęcej Gryfina. Hoża niegdyś rusinka, przedwczesną starością dziwnie była zmieniona. W twarzy zmęczenie, drgania jej niespokojne, cera chorobliwa. litość nad nieszczęśliwą obudzały.

Odwracającego się męża, chwyciła za rękaw sukni.

-- Wszyscy więc nas opuszczają! - wołała.— Idź, posłij, przypatrz się. Na zamku prawie pustol. Żołnierze nawet poddawiani nocami zbiegają. Bunt jawny! Potrzeba kary, trzeba grozy!

Z chłodną krwią Leszek podniósł głos i tarcgo Krzyżana wołać kazał. Służył on jeszcze i nad załogą na zamku miał zwierzchność.

Krzyżan przyodziawszy się, przywłókł z twarzą chmurną, jakby zawstydzoną. Stał w progu, do kolan się księciu schyliwszy.

Leszek wesół prawie podszedł ku niemu.

— Cóż! stary? prawda to, że ludzie od nas uciekają? (Ożeście to im zrobili, że nas nie chcą? Dużo ci ich zostało?

Nie śpieszył stary z odpowiedzią, hełm zdjęty z głowy, obracając w rękę.

— Miłościwy panie—rzekł powolnie.— Nie wiem na coby się skarżyć mogli, bo ich strawa, dziecię

i płaca dochodziła w porze. Żli ludzie podmawiają. Uszło dużo. . ostatniej nocy też zabrakło kilkunastu.

— Gdyby na zamek napadł nieprzyjaciół, byłoby się z kim mu opierać?—spytał Leszek obojętnie.

Krzyżan głową potrząsnął.

-- Trudno!—rzekł-- ludzi mało, a i za tych co są, rzeczyby nie chciał.

— Alboż to za wałami i ostrokołem z garścią przeciwko tysiącom się bronić i opierać nie można?—rzekł książę. —Mieszczanie przecie tatarom się w kościele Ś. Jędrzeja obronili i nie dali.

— Tatarom! — odparł Krzyżan. —Inna to rzecz z niemi. Tatar, gdy sobie raz o mur nos stłucze, drugi raz już nie idzie nań. Tatarzy zamków nie biorą.

Zamilkł. Leszek patrzył nań bacznie i dumał. Żołnierz ciągnął dalej.

— Przyjdą tacy, co tu znają wszystkie wejścia i wychody, tak dobrze jak my. Będą wiedzieć jak i kędy się podkładać, z której strony szturm przypuszczać. Nic podolamy im.

Gryfina widząc na ustach męża uśmiech, a obojętność w jego twarzy, łamała rękę i wskazywała go Ottonowi, jakby mówić chciała.

— Patrzajże jakim jest!

Leszek nie okazywał i teraz najmniejszej trwogi.

— Tak więc źle z nami? — zapytał. — Ba! No, to przecież raz wojna dobra będzie z niemi, potłuczemy się jak należy i pokój trwały zyszczem. Teraz ni wojny, ni pokoju nie było, to najgorsza.

Odwrócił się zwołna do Ottona i kazał miejską starszyznę na zamek powołać, wójta Sasa, ławników i kupców a możniejszych ludzi. Potem do Krzyżana się odwrócił.

— Do obrony mało was jest — rzekł — no, a do ucieczki, stanie?

Krzyżan pytania nie zrozumiał.

— Cóż? — dodał Leszek — kiedy się bić niema

komu, trzeba będzie iść, aby sobie ludzi sprowadzić. Swoich niema, postaramy się o obcych. Krzyżan? przeprowadzicie mnie na Węgry bezpiecznie? Gdyby nas napędzili, będziemy mieli z kim im czoła wystawić?

Stary głową wahał i nogami przebiegał, zdawał się ufać w to, że z Czarnym radę sobie dać w najgorszym razie potrafią.

Książę jeden stał za wielu.

Gryfina na straży u drzwi czekała co postanowią. Zimna ta krew męża, którego ona o zbytnią na wszystko obojętność obwiniała burzyła ją i gniewała.

Zapytała — cóż będzie?

Czarny uśmiechał się, niecierpliwość niewieścia bawiła go.

— Uczyniemy wycieczkę na Węgry — rzekł — lecz wrócimy tu z Kumanami i rozpiawim się z buntami. Niemcy moi zamkną im nie dadzą.

Krzyżanowi dał znak, aby ludziom zbierać się kazał w drogę.

Obrócił się do żony, nieco szydersko zalecając, aby, chce-li razem z nim na Węgry, wcześniej węzelki swe gotowała.

— Wam bo babom — rzekł — więcej niż nam w podróży potrzeba. Zbierajcież ochędóztwo swoje!

Zarty w chwili tak groźnego niebezpieczeństwa, mocniej jeszcze podrażniły Gryfinę, która pogardliwym wzrokiem męża zmierzyszy, wyszła rzuciwszy drzwiami.

Co w duszy Leszka się działo, ludzie odgadnąć nie umieli.

Opuszczony od wszystkich, niemal w rozpaczliwym położeniu, zachował spokój i pewność siebie, której nie podzielał.

— Będziemy się bić dobrze! — mówił. — Węgry i Kumany lud dzielny! Dowodzić im miło będzie. Krakowianie zniewieścili dużo... I im też nie za-

szkodzi, gdy w pole wyciągną i rycerską sprawę przypomną.

Wybić się—zdrowa rzecz!

Spieszno z wyborem ludzi i oręża.

Wtem u przedsieni gwaro się zrobiło.

Otton prowadził Niemców na zamek powołanych.

Przodem kroczył ogromny Sas, wójt, w łosio-
wym kaftanie, z brodą postrzyżoną, silny mąż z twa-
rzą długą, z ogromnemi płaskiemi nogami, z rękami
jak łopaty, chudy, kościsty, śmieszny razem i straszny.

Szedł wolno. nogę stawiając przed nogą, jakby
krok każdy mierzył i wżył. Gładził się to po
piersi, to po brodzie, to po głowie.

Za nim poprzybierani naprędce w suknie zwierz-
chuie uowe jedwabne i sukienne. szli Niemcy inni.
trochę podobni do niego, tuszy różnych, dużo opa-
słych i czerwonych. z policzki odętymi, niektórzy już
na wszelki raz w obuszki zbrojni.

Leszek zobaczywszy ich, rażno wyszedł na-
przeciw do pierwszej izby. z twarzą jasną, i gdy
mu się do nóg klaniali, rzekł, wójta Sasa klepiąc
po ramieniu.

— Słuchajno, stary Maxie. Nie źle tn wam
u mnie?

— Miłościwy książę—zwolna poważnie podno-
sząc głowę zaczął wójt — pod opieką Waszą dobrze
nam jest, Panu Bogu i Wam dziękujemy.

— Myślicieź. wójcie—odparł Leszek—aby i unie
i was ztąd nie wygnano. A! tak! — rozśmiał się. —
Idą panowie Krakowianie i Sandomierzanie i Ma-
zury na nasz Kraków, aby nam go odebrać. Zamku
obronić nie mam kim. Muszę sam na Węgry cią-
gnąć, aby ludzi ztamtąd przyprowadzić. Tymczasem
inaczej nie może być, zamek wam oddam na ręce,
abyście mi go calo uchowali.

Z wielką uwagą, powyciągawszy głowy, słu-
chali Niemcy. Wójt się namarszczył i zadumał.
Spojrzał porozumiewając się, na swoich.

— A nie może inaczej być? — zapytał po rozprawie.

— Nie może — rzekł Leszek. — Ja nie mam kim zamku obronić. Zabiorą go, wyżeną mnie, będziecie i wy musieli iść precz. Jeżeli czas zyskam, Węgrów i Kumanów na odsiecz przyprowadzę. Wyśwobodzę was i nagrodzę. Da-li Bóg ochronić to gniazdo moje... zapłacę wam dobrze za to, dam prawdziwą nową, miasto weźmiecie całe.

Rękę położył na piersiach.

Wójt spoglądał po swoich, oni na niego. Niektórzy w niepewności co począć głowami wahali.

— Myśmy nie wojenni ludzie! — bąknął jeden.

— Ale ręce macie i mężstwa wam nie brak — odparł Leszek — więcej nie potrzeba. W pole iść, na to żołnierz, a w zamku się bronić nawet baby potrafiłyby, gdyby serce miały.

— Długoż to trwać może? — zapytał wójt.

— Leczcie ile czasu potrzeba aby się na Węgry dostać, ludzi tam zawsze do boju gotowych znaleźć i zebrać, a z nimi powrócić. Odsiecz wam przywiódę, chyba bym nie był żyw. a żyw spodziewam się być, bo bić się jeszcze ochotę mam srogą!

Mówiąc to, książę się uśmiechał jak zawsze. Niemcy brody i głowy gładzili, szeptali, wzdychali. Wójt się na nich oglądał.

Max Sas, zimny na pozór człek, już był tak jak zyskany, inni się wahali jeszcze.

Czarny widząc to, dodał.

— Spytałem was w ostatku, miłujecie mnie, czy nie?

Niemcy poruszyli się mocno i wszyscy zgodnym głosem miłość zaczęli swą zaprzysięgać.

— Dla mej miłości uczynicie to — dodał Leszek żywo. — Jutro kto żyw, na zamek, zdaję wam go do wiernych rąk. Jestem spokojny, wy się nie poddacie.

Wójt oczyma swoich zmierzyl.

— Nie poddamy się!—odpowiedziano zwolna.—
Nie tylko waszego gniazda, ale naszego mienia bronić
będziemy, bo gdyby weszli do miasta i na zamek,
nasby pierwszych złupili. Poddawać się im nie po-
może. Co mus to mus, twardy orzech do zgryzienia,
ale go zgryźć potrzeba.

Wszyscy potakiwali.

— Idźcież—odparł Leszek śliście mi tu ludzi
na zamek, niech go zajmują. Żywność też przygoto-
wać potrzeba, a serca co najwięcej!

Rozśmieli się Niemcy, niektórzy do piersi ręce
poprzykładali, jakby chcieli okazać, że je mają.

— Maxie—odezwał się Leszek do wójta.
Hetmanem i na zamku głową ty u mnie teraz bę-
dziesz. W opiekę go wam oddaję.

Klaniającego się nderzył po ramieniu, pachole-
cia przywołał, wina podać kazał i poufale przepił
za zdrowie mieszczan. Im też kubki rozniesiono.
Wykrzyknęli zdrowie księcia.

Zaczęło się robić coraz weselej i unyśli na-
stroili się bardzo wysoko.

— Pokażemy im co Niemcy umieją!—odzywali
się niektórzy.

Z tem ich odprawił książę, wyprowadziwszy aż
do podsienia, wójta klepiąc po głowie i barkach,
szwargocząc z nim wesoło i takiej im dodawszy
otuchy swoją odwagą, iż powracający do domów,
wszyscy zań życie dać byli gotowi.

Na zamku z wielkim pośpiechem czyniono przy-
gotowania do podróży. Książę jakby się na łowy
wybierał, nie zachmurzył lica, radował się, iż biec
się i wojować będzie miał sposobność.

Otto i inni Niemcy, obruszeni przeciw zdrajcom,
narzekali, że im zawczasu łbów nie ponciowano, a bis-
kupa nie uduszono w więzieniu.

Jego obwiniano o wszystko, a Leszka, że dwa-
kroć mając go w ręku, powołał był i na wolność
go wypuścił.

Gdy tegoż wieczora narzekał Otto przed księciem. Leszek mu odpowiadał.

— Gdy się czasem na wrzód zbiera, baby ziele nań kładna, aby narwał i pękł. Biskup dla mnie tem zielskiem był, od którego narwać miało. Pęknie raz to smrodliwe wrzodzisko a potem hędziemy zdrowi.

Otto mruknął.

— Bodaj on pękł z nim razem!

Nazajutrz o południu zmieniła się Wawelu postać.

Księcia już tu nie było, gospodarzył Max Sas o wielkich płaskich nogach. przybrany w zbroiczkę, d mny hetmaństwem swoim, w hełmie żelaznym po nad długą twarzą, który jeszcze ją czynił większą, z obuchem, którego z rąk nie puszczał. bo nim młodzieź po plecach napędzał.

Przez cały dzień i noc całą szły na Wawel wozy nie tyle z kamieniem i kłodami, hakami i kolanami, co ze skrzyniami i sprzętami Niemców. W mieście zostawiono cztery ściany tylko, a reszta wszystko na zamek do izby i szop się ściagała.

Młodzieź od nożyc. heblów i łokci powołana do oreża szła dumnie choć niezgrabnie.

W mieście na dole zostało tylko co było polskiego, co się swoich nie obawiało. a może sercem ku nim lgnęło.

Tu różnie szeptano, na Wawel się oglądając.

Powoli rozgospodarowywali się na nim Niemcy ale skutecznie.

Max Sas, ludzi z zamku, których nie był pewien, aż do stróżów i czeladzi powypędzał. a zamku zostali sami Niemcy mieszczenie, mąka ich. krupy. beczki, skrzynie i węzelki! U wrót rozstawiono warty, na wały powciągano belki zębate, kamienie i co tylko ku obronie wymyśleć było można.

Jak się tam niemiecka mowa po dworcach tych rozpościerała teraz, jak tu wyglądało obco, smutno, gdyby po zdobyciu jakim, nikt nie słyszał i nie widział, bo mieszczenie sami tu prawie pozostali.

Wszystko już było pogotowi do obrony, gdy wieść gruchnęła, że książę Konrad ciągnie z rycerstwem polskiem. Zamknięto się najszczelniej na zamku, twarze nieco sposepniały, Max Sas chodził nieustannie po wałach a stukał obuchem.

Okrutny skwar lipcowy dopiekał ściśniętym na Wawelu, ale tem lżej chodzić mogli odziani, a spać pod gołym niebem, z wałów nie schodząc.

Gdy pierwsze oddziały rycerstwa z okrzykami do miasta i pod Wawel wtargnęły, wiedziały już przez szpiegów, że Leszek uszedł a Niemcy zamku bronić mieli. Lekce ich sobie wazono. Położyli się przybywający nie tak obozem jak po pustych domostwach, bo tych dosyć mieli. Wieczorem światła z nich, dymy i śpiewy na Wawelu widać było i słychać. Mieszczanie, którzy pozostali po dworkach nie dobrze się mieli. Żołnierstwo rozpasane pozwalało sobie, jak w zawojowanym kraju.

Na zamku ejsza panowała uroczysta.

Nikt nie zasnął tej nocy.

Nad ranem ks. Konrad, w orszaku jego biskup Paweł, dwu Wojewodów i dwu Kasztelanów. wszystkie rycerstwo zebrane nadeięgło śpiewając, radując się, wykrzykując.

Do koła opasywano zamek, przypatrując mu się. Nie nie widać było na nim, bo Max Sas nakazał siedzieć cicho.

W tem zaczęto na rozmowę wołać do bramy. Biskup Paweł stał tu z kasztelanem Warszem, obaj mający do zamku prawo.

Krzyczano, pytając kto dowodzi, kto hetmani, kto rządzi, aby co żywiej wrota im otwierał.

Aż na wyżki wystąpił Max w hełmie z obuszkami w ręku, na którym się podpierał.

Niemców zaczęto łajać po polsku, udawał więc, że nie rozumie, tylko postrzyżoną bródkę poglądał i hełm poprawiał, do którego nie był nawykły.

Aby okazać, że się nie lęka, ziewnął szeroko.

Nie podobala się ta zimna krew Warszowi, który Niemca od psów bezczeszcząc, wołał aby natychmiast wrota kazał otwierać. Krzyczał, że ziemie już wszystkie poddały się księciu Konradowi. i poprzysięgły mu na wierność, że zamek się im należy. Czarnego więc nie ujrzą oczy wasze—dodał—uszedł, wiedząc, że prawa do panowania starszemu ustąpić musi.

Wszystkiego tego Max słuchał obojętnie. Znał on dobrze kasztelana Warsza i tak śmiało patrzył mu w oczy, iż się nareszcie zniżył; tem potężniej łając. potem i besztając. Inni z orszaku pomagali mu.

— Niemce jakiś! otwieraj a żywo, bo ci głowę z karku zdejmujemy. Wrota na oścież! Jak wy tu śmiecie gospodarować, wy przybłędy jakieś, ziemia to nasza.

Odgrażano się pięściami i toporami, do góry je podnosząc. Niemiec wciąż stał i słuchał, nie unosząc się wcale, jakby go to nie obchodziło bynajmniej.

Mówił prawda źle po polsku, ale mu to nie przeszkadzało śmiało języka tego używać.

Gdy nareście hałas się trochę usmierzył, oparł się o blankowanie jedną ręką i schylił ku dołowi.

— My tu—rzekl powoli—znamy jednego pana. któremuśmy poprzysięgli na wierność, a tym jest książę Leszek. którego nieboszyk pan Bolesław następcą po sobie naznaczył. Wyście go też uznali. Temu my wiary dotrzymamy i zamku, który nam zwierzył, nie poddamy. Będziemy go bronili do ostatniej kropli krwi.

— Wy! wy! ludzie od nożyc i łopaty—poczęli wołać ziemianie - wy nam się myślicie bronić! Patrzcież ilu nas jest! Gdy was szturmem weźmiemy, noga ztąd nie ujdzie, jeden żyw nie zostanie.

Z garścią czeladzi chcecie przeciw wojsku się opierać!

— Mieścież rozum—dodał inny.—Póki my łaskawi, korzystajcie z tego, ocalicie życie i mienie. Później nie czas będzie.

Wójt słuchał rad i pogroźek nie poruszony, dawał się im wygadać i mileżał.

— Próżno krzyczeć — dodał w końcu — zamku nie poddamy! Co będzie to będzie!

Burzliwie się u wrót naradzano, a kupa coraz większa się u nich zbierała. Biskup radził dać im dzień do namysłu.

Z łaskawością odezwał się wojewoda krakowski Żegota, iż za jego wstawieniem się do namysłu im dobę dają, poczem szturm przypuszczą i litości już spodziewać się nie mają żadnej.

Nie odpowiadając na to Sas, zszedł z bramy, inni odciągnęli też, ale strażę gęsto do koła rozstawiono, aby się z zamku żywa dusza wyśliznąć nie mogła.

Tymczasem ziemianie, których wielu z Niemcami drużbę miało i dobrą znajomość, poczęli się z różnych stron ku wałom naciskać i zdala wszczynać rozmowy, usiłując namawiać, aby się po dobrej woli poddali.

Rozmawiano tak w różnych miejscach, ale nie dali się zachwiać i zgodnie odpowiedzieli, że ich cześć i wierności zamek był powierzony, a Max Sas nigdy się nie zgodzi poddać go, chybaży ich ogłodzono i do nogi wybito. Tak cały dzień zszedł na próżno.

Biskup przybywszy do Krakowa, razem z księciem Konradem, pojechał na dwór swój, którego dawno nie oglądał. Pusty był, wyludniony, po części odarty, bo wiele ztań sprzętu do Łagowa i do innych dworów powyciągano. Mieszkwały w nim tylko smutne dla ks. Pawła wspomnienia, wszystkich zawodów i pogroźek, jakich doznał w życiu.

Był też pomimo zwycięstwa tego pozornego, jakie odniósł nad Leszkiem, podrażniony i chmurny. Gniewało go, że zamek się trzymał. Miał to za jakiś zły znak, naglił, aby nie targnąć się on, natychmiast szturm przypuszczano.

Gdy Warsz i Żegota nadeszli doń, napadł na nich z wynówkami, iż czas marnowali na próżno, że

zamek więcej znaczył niż miasto całe, bo tam była stolica i gniazdo.

Opanować go potrzeba było natychmiast, żeby nieodwołalnie być władzą.

Warsz i wojewoda nie życzyli sobie wcale szturmować

— Niemców ja znam—mówił Żegota—naród to uparty i wytrzymały, a przebiegły. Szturm, gdy go p. zypuścimy, wiele nas nad miarę kosztować będzie.

Krew się poleje obficie. Oni zapasów na zamku mieli czasu przysposić, potrzymają się trochę i głód do poddania ich zmusi.

— Tak!—wciął rozogniony biskup—a tym czasem głosić będą, że Leszek Kraków trzyma. A póki on trzyma, póty my tu nie panowie, a najeźdźcy! Tam stolica!

I na Wawel wskazał.

Wszeźął się spór, w którym kasztelan i wojewoda niechętnie udział brali, mało co popędliwemu odpowiadając biskupowi.

Paweł domagał się, by nazajutrz zagrożono przynajmniej niemcom, iż, jeśli zamku nie poddadzą, miasto zostanie spalone.

— Mają w niem domy swe—mówił - nie jeden może tu część mienia swego zostawił... zlekną się o skórę własną. Bodaj mój dwór miał spłonąć razem, lepiej miasto na cztery rogi podpalić, niż stać tu i czekać, aż Leszek z Węgrami powróci!

Zamek nam potrzebny, abyśmy się w nim bronili, jeśli przybędzie. Spalić miasto... ulękna się!

Żegota się godził na to.

— Spalim czy nie—rzekł—dobrze, zagrożimy im spalaniem.

— Jeśli groźby nie posłuchają! podpalić!—dodał biskup.—Gdy zobaczą ogień, serce zmęknie, bo się przekonają, że nie pofolgujemy!

— Szkoda miasta pięknego!—rzekł Warsz.

— Większa szkoda piękniejszego jeszcze pań-

stwa—zawołał biskup.—Pismo święte powiada. gorszy cię oko twoje. wylup i wyrzuć je. Nie podda się miasto, niech przepada!

Z tą radą wyszli Warsz i Żegota do księcia Konrada. Słowo biskupa ważyło teraz wiele.

Liczny dwór jego potakiwał mu, wołał, że słuchać go było potrzeba, bo on jeden wiedział co czynić.

— Starzy niewieściny są!—wskazując za odchodzącymi, mówił biskup.—Pożalują miasta, które odbudować łatwo, a z zamkiem stracić mogą ziemię całą, bo kto grodu nie opanuje, ten panować tu nie będzie.

Gdy księcia Konrada wwiódł na Wawel, przy dzwonów biciu, a osadzą go na zamku i hołd mu tam oddadzą ziemianie, dopiero powiem, że Leszek już nie wróci!

VIII.

Jak dzień, nie sama starszyna, ale posłani od nich ziemianie, tacy, którzy Niemców znali i mir u nich mieli, stali już pod wrotami, czekając na odpowiedź. chcąc go nastraszyć i do poddania go przymusić.

Długo na ich wołania, bicie kamieniami i obuchami do wrót, nikt się nie ukazywał. Krzyezano i halasowano, wysuwała czasem głowa, poczyniała rozmowa, ale wójta Maxa nie było.

Znany w całym mieście wesołek, który Niemcom na biesiadach przyśpiewywał, przez Polaków zwany Lumpą, pocieszny garbus z głową dużą, włosem umyślnie najeżonym, parę razy się z za blanków nkazał z wywieszonym językiem.

Być może, iż go wójt naumyślnie wyprawił, aby

zabawiał natrętów, a pokazał im, iż na zamku strachu nie ma.

Lampa żartami odpowiadał na krzyki.

— Klucze się od zamku gdzieś zatrasały—wołał—nie ma ich, próbujcie palcem otworzyć.

Rzucano nań grudkami ziemi, znikał w jednym miejscu, biegł i gdzieindziej się pokazywał.

— Chee się wam zamku — mówił — łatwa rzecz się dostać do niego, pożyczcie skrzydeł od ptaków!

Zobaczywszy znajomego ziemianina pocałunek mu od ust posyłał, czapkę z kukawką podnosił i znikał.

Gniewali się niektórzy, że im błazna do rozmowy przysłało, a wrót coraz się bardziej burzyło, gdy Max Sas wyszedł w swym hełmie, na obuszkach się opierając.

— Słuchaj niemce! — krzyknął, rękę w górę podnosząc Drogomir, wysłany od księcia.—My z wami w długie rozmowy wdawać się nie myślimy. Nie poddacie zamku? no, to wasze miasto dziś jeszcze podpalemy, na cztery rogi, a domostwa w popiół obrócimy!

Chwila milczenia była.

— A co wam przyjdzie z tego? — odparł wójt zimno.—Kto życie stawia, ten domu nie pożaruje.

Spalicie własne miasto, dacie tem znak, że siły nie macie.

Kiedy nam pożarem grozicie, powiem dziś jeszcze mocniej niż wczora—nie poddamy się—palcie.

Gdybyście moc w sobie czuli, nie ogniem, ale szturmem byście grozili!

Drogomir zamilkł trochę, poczynwszy, że nieciekawe może miał słuszość. Wybuchnął potem krzykiem okrutnym, który tylko złość znaczył.

— Spalimy miasto, potem was! chłopcy jakieś włóczęgi! Nie stało wam własnej ziemi, żeście do nas po chleb przyszli i myślicie z nami wojować!

— Nie żebrać my do was przyszli. ale pracować na chleb—to prawda!—odparł Sas dumnie. I my żebraki jesteśmy panu wierni, gdy wy, jego dzieci, sprzedaliście go jak Judasz Chrystusa Pana.

Na ten wyrzut krzyk powstał wielki. Wójt zaczerwieniony gniewem, wołał:

— Zamku nie damy!

Zszedł zaraz z wyżek. Ukazała się głowa Lumpy. który czapką się kłaniał.

— Jeżeli krzesiwa i luby na podpał brak—odezwał się pan wójt oświadcza. że go wam dostarczy. Pod jego dom pierwsza głównia!

Spalcie i mój jeśli znajdziecie!

Posypały się kamienie, miasto odpowiedzi Lumpy znikł, gniew na dole wrzał srogi.

Dogomir jeszcze nie dając za wygraną, stał u wrót ze swemi, choć już nadziei zastraszenia Niemców nie było!

Kilku zbiegło do wojewody i biskupa, bo tam na odpowiedź Niemców oczekiwano.

Gdy ją przyniesiono, wszystkim oprócz ks. Pawła, oblicza się zasępiły.

— Wiedziałem ja z góry — rzekł Warsz — iż z Niemcami sprawa nie będzie łatwa. Tylko głodem ich wziąć możemy.

— A szturmem?

— Wątpliwa—odparł wojewoda.—Nie jeden ani dwa razy drapać się trzeba będzie na wały i dużo ludzi stracimy. Bieda i to już, gdy prawowity pan, krwią się musi stolicy dobijać!

— Palić więc miasto! palić—wołał biskup w gniewie.—Znam tych ludzi, gdy zobaczą płomienie, a swoje dobro zniszczone, ustraszają się.

— Gdy w rozpacz wpadną—rzekł Warsz—nie mając nic do stracenia, tem zajadlej waleczyć będą. Zegota zdanie to zdał się podzielać.

— Pójdzie płomień po mieście—dodał kasztelan—może i wasz dworzec spłonie i kościoły, które są na

chwałę Bożą wzniesione, i klasztory, i kupców gospoda.

— Kościoły z muru są znaczniejsze—odparł biskup gwałtownie—nie im się nie stanie. Sploną dachy, to je nanowo ołowiem pokryjemy. Niech się mój dwór palił byle z Leszkiem skończyć i nie miał tu do czego powracać!

Widząc, że i kasztelan i wojewoda waha-
li się, biskup natychmiast wybrał się do księ-
cia Konrada. Żądał aby miasto spalono! domagał
się tego.

A że on tu był duszą wszystkiego i słuchano
go dotąd, siłę miał wielką, głos mocen, przewidzieć
było można, iż na swem postawi.

Warszowi i wielu z nim, żal było pięknego mia-
sta. Wiedzieli oni, że nie tak łatwo wzniesić na no-
wo co lata budowały, wstyd im było po tatarsku
żagwią wojować. Resztki polskich mieszczan, bie-
dnych ludzi litowano się. Plomienia wstrzymać tru-
dno, rozumu on niema, mówiono, spali niemieckie,
ale nie szczerdzi co swoje.

Tego wszystkiego nie chcąc słuchać biskup, za-
paleniem gardłował. Wracala mu dawna jego za-
palczywość i namiętność, powtarzał jednociągłe:

— Nie poddają! palić!

Oprócz żołdaków mazowieckich i Litwy sprzy-
mierzonej, którzy się spodziewali rabunkiem obłowić
przy pożarze, nikomu się ognia tego nie chciało.
Wstręt do niego mieli wszyscy.

Warsz i to miał przeciw zniszczeniu, że wojsku
miało zabraknąć, dachu i przytulku i zmuszone bę-
dzie leżeć na niewygodnych pogorzeliskach.

Lecz z biskupem, gdy roznamiętniony był, wo-
jować nikt nie mógł. Powtarzał swoje, im mu się
więcej sprzeciwiano, zjadlej stojąc przy niem.

— Palić!—wolał.

Nie chciał się cofnąć raz to wyrzekłszy. a na
wszystkich następował tak, że ich do milczenia zmu-

szał. Upór ten jego wpływał na innych. więcej zła-
mać się nim, niż przekonać dali.

O południu już godzili się wszyscy na to, aby
miasto spalone zostało.

Warsz posłał jeszcze z tą groźbą do wójta
który zbył przybyłego dwoma słowy:

— Zaniku nie damy!

Nad wieczór otrąbiono na znak, aby żołnierze
domostwa podpalali.

Skwar letni właśnie był je wysuszył, deszczu
od dawna nie widziano. Łada skra starczyłaby pożar
wzniecić wielki. Nie dano nawet znać o wyroku
pozostałym mieszkańcom, a ciury zawsze rade dzi-
kiemu szaleństwu. rozbiegli się nad wieczór z ża-
gwiemi i główniami z ognisk pochwycenemi.

Starszyczna na koni powsiadawszy, niespokojna
trochę, pojechała strzedz, aby ogień przynajmniej
świątynie i klasztoru oszczędził.

Z biskupiego dworu powybiegalo co żyło przy-
glądać się zapowiedzianemu ogniowi.

Biskup Paweł sam jeden. opuszczony o wie-
czornej godzinie w izbie sam siedział. Nikogo przy
nim nie było.

Postawił na swem, lecz teraz, gdy łała chwila
zaskwierzyć miał ogień, na który on skazał miasto,
gdy tylko co w oknach nie zaświeciła luna pożarna
serce namiętnością zburzone, ściskało mu się uczu-
ciem dziwnem.

Żałował prawie. że tego zapragnął i że się to
dokonać miało.

Siedział oparty na dłoni obrzęklej. zły i zachmu-
rzony, drgając na najmniejszy szmer, który od ulicy
dochodził. Żle jakieś przecucia i myśli zawładły nim.
Zwyczajem nie czuł się jeszcze u celu. Znał Leszka.

Lekko go sobie cenił, jako męża w radzie, ale
jako wojaka niepokonanego lękał się. Tu na oręż
i siłę szło wszystko.

Kumany i Węgrowie mogli się ściągnąć tłumami,

a ziemianie na pierwszy postrach spustoszenia i pomsty, księcia Konrada opuścić.

Mrok się zwolna po izbie rozpościerał. Z kilku otwartych okien, wpadło do niej światło coraz słabsze uchodzącego dnia.

W kątach i załamach izby już nie dojrzeć nie było można.

Sprzęty i ściany zlewały się w jedną ciemność, w szare mroki.

Na mieście wrzawę daleką słyszać było, której znaczenie dobrze ks. Paweł rozumiał.

Niekiedy wśród niej głośniejszy wykrzyk brzmiał jak wyrok zagłady.

Ludzie szli podpalać.

Dalej gdzieś, już paliło się może.

Tak zadumany, gdy siedział biskup, szcelse się dał słyszeć u drzwi, którego z początku nie zrozumiał. Mógł wujść ktoś z domowych, nie obrócił się nawet, bo nie chciał widzieć nikogo.

Wtem westchnienie głębokie, niezbyt już opodał, zniecierpliwiło go, jakby wyrzutem było, odwrócił się cnieąc łajac za nie, gdy przed sobą o parę kroków postrzegł klęczącą, z rękami złożonemi, Bietę.

Widował on ją w ciągu lat tych dosyć często, ale zdaleka, inną niż była, pokorną, modlącą się, nie natrętną. Nawykł już był do tego zjawiska, które czyniło na nim wrażenie zawsze, lecz przestało go niepokoić i gniewać.

Nigdy jednak od bardzo dawna nie ośmieliła się Bieta wśliznąć aż do niego. Ks. Paweł przeraził się i zagniewał.

Spojrzał na nią groźnie.

Była to inna niewiasta, którą pokuta odrodziła. Zestarzała, wybladła, z oczyma głęboko wpadłemi, z policzkami wychudłemi, z wyrazem błagającym i rozbolałym a cierpliwym razem, obudzała litość i trwogę. Miała na sobie suknię zakonu św.

Syn Jazdona T. III.

Franciszka, pas i zasłonę na głowie. Klęczała przed nim modląc się, patrzyła nań w milczeniu.

Ta modlitwa cicha w końcu jak żar i ogień palić go zaczęła, wiała od niej gorącym niecznośnem, oblewała go jakby lzy rozpalonemi.

Zerwał się z siedzenia.

— Czego ty chcesz! nędznico!—zawołał.

— Litości! — odpowiedziała słabym, ale odważnym, spokojnym głosem.—Litości!

Biskup zamruczał coś niezrozumiałego.

— Litości, ale nie dla mnie... litości, abys ją miał nad samym sobą! Pawle! Pawle! godziny twe policzone! czas do pokuty krótki. Duszę swą ratuj! Pawle!

Przymuszonym śmiechem parsknął biskup.

— Ty! wszeteczna!—krzyknął—mnie, pasterza najwyższego do pokuty będziesz nawracała! Ty! Ja mam siłę wiązania i rozwiązywania, ja.

Głos jego potoczył się w gardło nazad i słowa zmieniły się w niezrozumiałe lkanie. Upadł na siedzenie. Poruszony był mocniej, niż chciał pokazać po sobie... walczył z sobą, by się nie zdradzić.

— Pawle—mówiła klęcząca łagodnie.—Bóg cie przez moje grzeszne usta ostrzeże! Załuj i pokutuj! Nowe występki bierzesz na sumienie swoje. Krew, ogień, mordy, zdradę...

I twarzą padła na ziemię, lecz podniosła się zaraz, a lice jej coraz silniej gorzało.

W tejże chwili przez jedno z okien zamiast blasku dnia gasnącego, wpadł pomarańczowy odbłask płomieni i drżąc, po izbie się rozlał..., jakby słowom Biety chciał dodać siły.

Miasto gorzało.

— Oto tysiące ludzi do Boga o pomstę za ten ogień wołać będzie, ten ogień, który ty podłożyłeś.

Cierpliwy Pan, czekał. Dał ci więzy jako upomnienie, dał ci klęski na upamiętanie, dał upokorze-

nie jako znak, że cię woła do siebie. Tyś głuchy i ślepy, Pawle słuchać głosu Bożego.

Ja grzeszna, ja nędznica, skalana i uwiedziona, miłuję cię jeszcze, ale miłością, która zbawić pragniel Wyrwij duszę moją z płomieni, ocal swoją! Masz lat jeszcze siedm do pokuty... objawił mi to Bóg na modlitwie, iż tyle ci życia zostało! A! mało to na grzechy twoje. Widzę je jak czarne plamy, któremi okryta jest dusza twoja.

Biskup słuchał głowę kryjąc w dlonie, z trwożą razem i gnicwem. Wstrzymywał się, by nie wybuchnąć. Miękl a stary nalóg grzechu wznawiał w nim opór i skruchę odpędzał.

Blask pożaru już teraz wszystkiemi wpadał oknami, izba cała się nim rozjaśniała; twarz Biety obłana nim była. Widok tego ognia zamiast w nim obudzić żal, w szal jakiś wprowadzał.

— Precz!—zawołał—precz, nędznico, co mi nie dajesz pokoju. Nie do pokuty chcesz mnie przywieść, ale do grzechu, wszeteczna!

Idź mi z oczów, lub każę cię pacholkom...

— Nie uczynią mi nic pacholkomie twoi, bo Bóg mnie obroni!—rzekła spokojnie.—Nie na grzech, ale do skruchy cię prowadzę.; Pawle! miej litość nad sobą!

Jęk ten zamiast poruszyć ks. Pawła, gniew w nim obudził większy jeszcze. Chciał krzyknąć na ludzi, wstyd mu było. Nie wiedząc co począć, z podniesionymi pięściami rzucił się do niej i już ją chciał bić. Bieta oczy zamknawszy nie drgnęła nawet nieulękniona. Kłęczała modląc się.

Paweł zamierzywszy się już na nią, cofnął się, ręce mu opadły.

W gniewie jak obłąkany, chciał uciekać, gdy Bieta chwyciła go za suknię i strzymała.

— Zabij mnie! jeśli krew przelana ma skruchę i pokutę wywołać! Zabij mnie!—jęknęła.

Coraz bardziej strwożony biskup szarpnął tak

mocno suknię, wyrывая ją Biecie, iż ta padła na ziemię. Słyszał, jak głową uderzyła o twardą podłogę, lecz spojrzeć już nie śmiejąc, biegł zamknąć się do izby swej i na łóżę padł prawie bezprzytomny.

Dyszał oglądając się jeszcze do kola, lękając pogoni.

I tu już blask płomieni coraz był silniejszy.

Podwórze oświecone stało całe, miasto gorzało płomieniem ogromnym, wiatr, który się zerwał, roznosił iskry i głównie, tam gdzie drzewa budynki ochraniały.

Biskup słyszał już trzask niedaleko palących się domostw, wrzawę żoldactwa, które nowe płomienie witało okrzykami, a w duszy czuł dreszcz jakiś śmiertelny.

Zdało mu się, że tam, w tej izbie od której się zarygłował, musiał leżeć trup kobiety.

Nie łatwo się on strwożyć dawał, teraz nie poznawał siebie.

Prorocstwo siedmiu lat życia brzmiało mu w uszach natrętnie.

Miałaż ta niewiasta odsłonią tajemnicę przyszłości?

Siedem—siedem lat pokutyl

Cała przyszłość stanęła mu przed oczyma, serce rozpłonęło goryczą.

Zycie wydało mu się zmarnowane, czarne, zbrukane, nieszczęśliwe, ale pokutę odpychał.

— Na pokutę, nie wiem, zawcześnie, czy za późno, ale na zemstę czas jeszcze.

Chciał się śmiać, a łzy płynęły mu z oczów

Wtem do drzwi, które był zaparł za sobą, gwałtownie się dobijać zaczęto. Za niemi poznał głosy swoich dworzan, kapelana i Kaczora. Ułakł się, czy nie znaleźli zabitej.

Wolano coraz głośniej.

— Gore! gore!

Ks. Paweł zerwał się. Oknem już wskakiwały

iskry, parł się do środka dym gorzki. Pobiegl do drzwi, które otworzywszy ujrzał wielką izbę w płomieniach. Oknami wpadały do niej języki ogniste i lizały ściany.

Do kola zwijali się ludzie wynoszący sprzęty i rzeczy, czeladź wyciągała z szop konie. Dwór i zabudowania blizkie gorzały.

Sam on ten wyrok—na stos—wydał na siebie.

Nie spostrzeżono, gdy drewniane pokrycia gorzeć zaczęły, a gdy je objął ogień, ratować już było za późno.

Biskup spojrział w głąb izby. Na oświeconej podłodze, tam gdzie klęczała Bieta, postrzegł plamę krwi, w której blask ognia odbijał się rubinowo.

— Trupa nie było.

Paweł odzyskał przytomność i z ludźmi, którzy go pochwycili wybiegl życie ratując. Ci co prowadzili, nie widząc krwi na podłodze, wprost na nią go wiedli. Ośliznęła się noga, ale wnet znalazł się ocalony w podwórzu.

Biegli tu już Żegota, Warsz i inni o swojego wodza niespokojni, a ujrzawszy, otoczyli z radosnymi okrzyki.

Biskup lekceważąc pożar swojego dworca, gdy o wóz trudno było, konia sobie podać kazał. Do kola widok się rozpościerał straszliwy, lecz majestycznie piękny.

Morze płomieni, obłoki dymów krwawych, gwiazdy iskiek tysiąca. Pożar jak smok chciwy pastwy, poruszał się, wyciągał szyje ogniste, chwycił i pożerał czego dotknął.

Na tem tle złotem, wieże kościołów, mury nie tknięte jeszcze, stały jak czarne olbrzymy. W dali widać było Wawel łuną oświecony, a na wałach jego tysiące głów, rąk załamanych tysiące.

Ludzie ci patrzali na zgorzelisko swych dachów, pracy swej, mienia i—plakali.

Żołnierstwo, które każda klęska nieprzyjaciela

dzikszem czyni, upojone tym widokiem zagłady, biegło jak oszalałe, krzycząc ogniowi zachęty by palił, sypiąc mu oklaski jak sprzymierzeńcowi.

Ciury jak pożar się rozsypywały. Szyderskie śmiechy i śpiewy tłumów wtórowały syczeniu płomieni. Wskazywano na zamek, gdzie jak skamieniali stali ludzie z boleścią w sercu.

Ztamtąd nie było słyhać głosu, ni jęku, ni przekleństwa.

Ci, co biegli napawać się tą boleścią, znajdowali ją niemą, straszną i—cofali się.

Całą tak noc płonął niedawno odbudowany Kraków, naprzód jak ogromne ognisko, potem jak pogorzela krwawa, nad którą gęste kłębiły się dymy. Wśród jasności tych, ogorzałe drzewa, z gałęzmi opalonymi, jak zeszlęmi, sterczały trupami. Gdzieś niedopalony słup, ściana muru..., lub drzewa, które gładna ocalała, padały, gdy im podpory nie stało... i iskry rozplyskiwały do koła.

W ulicach garstki ludzi siedząc plakały, a cinyr włócząc się—śpiewali. Inni powytaćzawszy beczki, pili na cześć przyszłego pana, który poczynął rządy od palenia stolicy.

Jeszcze ogień nie wygasł, gdy dzień zaczęło.

Ocalało niewiele. Biskup czując się mocno znużonym, szukał miejsca dla spoczynku, swojego domu już nie miał.

Spłonęła i ta niewiasta z nim? pytał się w duchu i żądał, aby tak było.

Niemając się dokąd schronić, pojechał do klasztoru św. Franciszka. Tam dzwoniło już na jutrznię i razem odzywał się dzwonek dominikański, bo między dwoma zakonami trwało współzawodnictwo prawie w walkę przechodzące, kto pierwszy na jutrznię dzwonić ma prawo. Spór o to później wytoczył się aż do duchownej zwierzchności, która rozstrzygnęła go trochę szydersko.

Gdy ks. Paweł stanął u furty św. Franciszka.

ujrzał w niej jakby na swe spotkanie wychodzącego mnicha.

Starzec był wychudły, którego szyja z habitu wystająca, żółta, pomarszczona, głowa wygolona, broda siwiejąca, czoło poorane, suknia polatana różnobarwnie i wytarta, czyniły podobnym do jednego z pierwszych uczniów świętego z Assyżu. W obliczu tem czuć było oderwanie się ascetyczne od świata, gorejącą pobożność i pogardę ziemskich rzeczy.

Poznawszy biskupa ks. Serafin, ukląkł pokornie.

Ojciec ten, Czech, rodem z Pragi, ale od pierwszego założenia klasztoru przebywający w Krakowie, był już prawie Polakiem... nauczył się mowy, kraj pokochał.

Był to kaznodzieja słynny, na którego głos tysiącami lud biegał, tak, że nie w szczupłym naówczas kościele, ale zewnątrz z przystawionej doń ambonki opowiadać musiał słowo Boże.

Głoszono cuda jego, lękano się nieublaganej surowości.

Biskup też wołałby był spotkać u progu kogo innego, nie jego.

Prawdomówność i ostrożność człowieka tego nie mile mu były.

— Ojcie mój—odezwał się biskup, przybierając umyślnie ton lekki i wesoly.—Ótom bez schronienia, pastuch bez szalasu, przychodzę was prosić o cele w klasztorze.

Mnich pokłonił się, ręce obie krzyżując na piersiach, lecz milczeniem tylko odpowiedział. Tymczasem biskupa z konia zszadzano, wszedł w korytarze wiodąc za sobą Serafina.

Ten śpieszył za nim z głową spuszczoną, otworzył drzwi pustej, dosyć przestronnej izby i stanawszy w progu, wskazał wniknąć ks. Pawłowi.

I to uparte milczenie O. Serafina, choć z pewnych względów dogadzało biskupowi, z innych nieprzyjemnem mu było. Wytłumaczył je sobie jakimś wstrętem.

Wchodząc więc do środka, wezwał z sobą zakonnik, który nieco się zawahawszy usłuchał.

Tak miał głowę pełną ks. Paweł spraw dzisiejszych, iż nie znalazł innej treści do rozpoczęcia rozmowy nad nie.

— Teraz — odezwał się do niego — spodziewam się, iż Wawel poddać się musil Niemcy przekonali się, iż żartować nie będziemy.

Splonęło miasto!

— Tak! — powoli ozwał się stłumionym głosem O. Serafin — dotknął je Bóg, aby z grzechu oczyścić płomieniem... ale i niewinnych ucierpiało wielu.

Westchnął starzec.

— Potrzeba było tej klęski, aby dokonać dzieła—wtrącił Paweł.

Unikając rozmowy o tym przedmiocie, O. Serafin dodał tylko, iż Bóg łaskaw świątynie swoje ocalił.

To mówiąc spoglądał na drzwi, jakby mu oddać się pilno było.

Biskup wstrzymywał go wejrzeniem.

— Ciężkie są czasem konieczności, nieuniknione!—szepnął cicho.

— Bez woli Bożej nic się nie dzieje — odparł mnich—bo i wola ludzka w rękach Jego.

To mówiąc spojrzął na biskupa tak przenikającym wzrokiem, iż ten oczy spuścić musiał. O. Serafin złożył ręce jak do modlitwy.

Rozdrażniony biskup i w tym ruchu upatrzył coś wymierzonego przeciw sobie. Pomyślał, iż się modli może o jego nawrócenie, tak jak ta, co go niedawno upominała. Zburzyło go to i wbiło w dumę.

— Modlicie się widzę, O. Serafinie—wtrącił—może i za mnie biednego grzesznika?

Chociaż w głosie brzmiał gniew, staruszek się nie zmieszał, blade oczy zwrócił ku mówiącemu.

— Tak jest—rzekł—modłę się i za was, Pasterzu! boć nie ma, ktoby nie potrzebował modlitwy.

— Mnie zaś macie pewnie za najzatatwardzial-

szego z grzeszników?—dorzucił Paweł prędko z szyderstwem odbitem.

— A któżby z nas śmiał być Psychostatą, okrom tego, który szaleć sprawiedliwości w straszny dzień sądu trzymać będzie?—smutnie odezwał się O. Serafin.

Nie wiem czy najgrzeszniejszym jesteś, Pawle biskupie, ale jako człowiek grzesznym jesteś, a jako grzesznik pokutować powinienes.

Bóg łaskawym, którego na biskupa namaścił, da czas do obmycia się. Lat siedem jeszcze masz przed sobą.

Usłyszawszy po raz wtóry o tych siedmiu leciech, wstrząsnął się i drgnął ks. Paweł. Wprędce jednak дума wróciła, podniósł głowę.

— Co to mi prawisz?—odezwał się.—Rozmawiałeś z Panem Bogiem?

— Tak jest!—rzekł chłodno O. Serafin.—Dusza moja codzień rozmawia z nim na modlitwie.

Małuczki jestem i grzeszny... ale małych Chrystus łitościwy Pan przypuszcza do siebie! Gdyś za duszę twoją modlił się, jako za pasterza naszego, słyszałem głos z góry: „Siedem lat dano mu do pokuty.“

Pokorny mnich rósł i potężniał mówiąc.

— Siedem lat!—dodał natchniony.—Użyjcież ich nie na pożogę miast, nie na zemstę i rozlew krwi, ale na przeblaganie Boga, na oczyszczenie siebie.

Zamilkł, biskup próżno chciał przybrać ton i twarz lekceważącą, wpadł w zadumę. Korzystając z wrażenia O. Serafin kończył.

— Bóg nie chce zguby grzesznika, a dla ciebie łaskawym jest, boś dostojeństwo piastował w kościele i postawił cię na świeczniku. I chce aby światło to gorzało światu, płomieniem się wzbiło ku niebu.

Nie mając siły odpowiedzieć mu, biskup, którego śmiałość mnicha oburzała coraz mocniej, dumnie pokazał na drzwi.

O. Serafin uchylił głowę, złożył ręce na pierśsiach... i wyszedł. Okno izby było zaparte, biskup

gwałtownie otworzył jej. Zamiast świeżego powietrza poranku, wpadła niem zgorzelizna i dymy.

W chórze śpiewali mnichy, dalej na pogorzelałach słyhać było krzyki żołnierstwa, dzwonki kościelne mięszały swe dźwięki z odgłosem oręży i tententem koni.

— Raz-że jeszcze mam być pokonany?—zawolał w duszy swej Paweł—i jeszcze raz npokorzony?

Spojrzał z wyrzutem i skargą ku niebiosom... okrytym dymami sinemi.

IX.

Klucznik na zamku w Sieradzu, stary Wrzos, z siwą, krótko postrzyżoną szczecinowatą brodą, który w niejakim porządku puste jego izby utrzymywał, przechadzał się czasem po nich niemając nic do czynienia, rozmyślając o przeszłych latach, które tu przeżył. Były to jedyne dni żywota, po których mu pozostały pamiątki.

Patrzal tu na dwór i życie osobliwe Leszka z Gryfiną, którą poufale Rusinką nazywał, a nie bardzo ją lubił, dwa razy pilnował przywożonego tu biskupa, różnemi wygody dlań wymaganemi, których nastarczyć nie mógł, niecierpliwiony. Budził on w nim z pewnych względów poszanowanie jako pasterz duchowny, niby książę a kapłan razem, z drugiej wielką ciekawość i wstręt pewien, iż się mógł dopuścić przestępstw, za które aż do więzienia popadł.

Dla prostego człowieka jakim był Wrzos, biskup ten do żołnierza podobny, krzykliwy, nakazujący, wcale nie pobożny, był nierozwiklaną zagadką.

Wiedział on o tem, że go tu za jakieś przewinienie osadzono, a potem musiano wypuścić, placąc mu

za niewolę. To mu się w głowie nie mogło pomieścić, ani co biskup popełnił, ani jeżeli winnym był, czemu go nie ukarano a przepraszać musiano.

O nim też, o Leszku i Gryfinie, stary Wrzos ludziom załogi i niestałym zamku mieszkańcom, gdy tylko mógł, opowiadać lubił.

Stary już był ten Wrzos, dawniej trochę żołnierz, ale gdy mu nogę Prusak czy Litwin nadwerżył oszczepem i nakliwać na nią zaczął, dano mu schronienie łaskawe w Sieradzu, zkaąd był rodem. Dostał się do posługi przy zamku, a że wiernym był, powierzono mu straż jego wewnętrzną.

Teraz nie było tu kogo i czego pilnować, komnaty pustkami stały, gdziekolwiek w nich zboże zsypywano, na dole nawet w izbach opróżnionych składano siano i słomę.

W innych wylegała się załoga, składając oręż swój, węzélki i życia zapasy.

Lepsze izby, pańskiemu zwane, które książę, książęna a później biskup zajmował, pyłem okryte odpoczywały i chyba je przejeżdżający wojewoda lub kasztelan na dzień jaki zamieszkał.

Obyczajem, który długo się potem w zamkach podobnych utrzymał, sprzęt ich był bardzo prosty: stoły od siekiery, u ścian ławy, drzwi ledwie niektóre ze skobkami, nie we wszystkich oknach blony, ozdób żadnych, chyba gdzie połica górą, aby na niej co złożyć można i haki do wieszania.

A że okna nie zawsze zamykane były, w wielu z izb jaskółki blisko framug gniazda lepily i wróble zajeżdżały na popasy. Na górnych poddaszach wiedział Wrzos o sowach, ale tym nic nie czynił, podejrzewając ich ze strasznych wejrzeń, iż mściłoby się mogły. Tak samo gościnnie przyjmowany był co roku bocian, który na jednej z baszt usiał sobie gniazdo ogromne, i przybyciem swem wiosnę pewną wróżył.

Wrzos nieżonaty, samotnik, nie miał nikogo z kimby żył, całą rozrywkę dlań stanowiło przejście się do

gospody na podzamecze, gdzie mieszczanie się schodzili i ludzie z okolicy na targ przybywający.

Tu piwo pijąc, stary prawil co słyszał, co widział, o Czarnym jak uchodził od żony, o Gryfinie jak za nim gonila, i o tym biskupie, który kłął jak prosty ciura, a czasem własną ręką za drzwi wypychał.

Nudzilo się teraz Wrzosowi, bo albo nie do czynienia nie miał i spał dno, albo nawal roboty, gdy na zamek zajechał, tak, że spocząć mu nie dawano. Skarżył się też, iż mu jego osyp, mąkę, krupy, piwo wyznaczone i sól nie wydawano w porze, skąpo, złą miarą i nie najlepsze.

Sam sobie jedzenie prażył, w czem mu zwykle jedna ze stróżek zamkowych, które z przedmieścia tygodniami na służbę przychodziły, pomocą bywała.

Niekiedy z braku innego zajęcia, Wrzos łyżki strugał z lipiny, a miał to przekonanie, że piękniejszych nad nie, nikt na świecie robić nie mógł.

Jednego wieczora, gdy Wrzos na stopniach siadłszy u baszty, rozповідаł dwom pacholkom z załogi o tych dawnych czasach, gdy to tu ludno bywało, a zapalił się mocno w opowieści swojej, zatętniało, zahuczało, i pięciu konnych wpadło na podwórze zamkowe, a jeden z nich wprost na niego, wolając kędy klucznik był.

Wstał uchylając wytartą z futrem czapczynę Wrzos—(bo jesień już była i w uszy marzył).

— Izby oporządzać! ognia zapalić!—wolał przybyły.—Gościa mićć będziecie lada godzinę. Tylko go patrzeć!

Wrzos ośmielił się spytać, jaki to miał być gość, bo się przyjęcie dostojnością mierzyło.

— E! stary!—odparł przybyły—wy jeźliście tu nie od dzisiaj, może go i znacie. Nie pierwszy to raz on tu przybędzie!

Leszek już był naówczas zmarł, zdziwił się Wrzos, o kim mowa być mogła, bo o biskupie ani myślał.

Nie śmiał nawet pytać więcej, lecz zaraz stró-

zów wzięwszy i stróżkę z miotłą, szedł odmykać. pyły oczyszczać, myśleć o ogrzaniu.

W duchu jednak ciągle się pytał sam siebie, ktoby to mógł być?

Pospiech, z jakim oczyszczano dawno niezamieszkaną izbę, podniósł w nich straszne pyłu tumany, które jeszcze czasu osiąść nie miały, gdy przez okno zobaczył Wrzos wielki wóz okryty, do kola zbrojnymi ludźmi otoczony, a na wozie pół siedzącego, na pół leżącego mężczyznę starego, otyłego, z twarzą rozlaną, okrytego kożuchem dostatnim, w czapce sobolej.

Chociaż długi przeciąg czasu upłynął od ostatniej biskupa niewoli, a ks. Paweł zmienił się mocno (on to był bowiem), Wrzos aż zakrzyknął, poznając swego więźnia dawnego.

Tak mu się to zdało dziwnem, iż nieopatrzny człek popadł tu raz trzeci, iż ręce zalał.

— Trzeci raz! — zawołał — no! teraz mu tu koniec będzie!

Gdy to mówił, słychać już było i ciężki chód biskupa i głosy tych, co go prowadzili, aż w progu ukazała się postać dumna, z twarzą pomarszczoną. włokąca się ciężko na nogach obrzmiałych, opierająca się o ściany.

Wrzos schylił się przed nią nisko, ale biskup zbyt sobą był zajęty, aby nań spojrzeć nawet.

Widok tych miejsc przypomniawszy mu cały szereg wypadków długiego życia, aż do tej ostatniej godziny.

— Być zwyciężonym, zawsze zwyciężonym być! — powtarzał w duszy. — Czuć się silnym i zgniecionym być przez karłów, którzy ani rozumu, ni przebiegłości mej nie mają! Przecznaczenie!

Z tą myślą przygnębiającą rzucił się biskup na ławę w rogu izby, i nieruchomy na niej pozostał.

Jeden kapelan Mikołaj miał pozwolenie towarzyszenia mu. Kaczor przywłókł się jako sługa.

Na nim znać też było lata przeżyte. wesolość

jego nie tą dawną była, zdała się przymuszona, powtarzała jednostajnie. Dla podbudzenia jej, napijać się musiał, roztył się i ociężał.

Kapelan i oehmistrz, bo tak mianowano Kaezora, zaczęli myśleć o zapewnieniu wygod biskupowi, gdy on, zobojętniały o nie się nie upominał, na nie się zdawał zważać. Dawną gwałtowność i wybuchy, zastąpiło odrętwienie.

Widząc go w takim ducha upadku, ksiądz Mikołaj, pokorny bardzo i łagodny człek, czuł się w obowiązku przyjść mu w pomoc duchowną pociechą.

— Nie potrzebujemy się tu bardzo rozgaszczać — rzekł — niewola nasza nie potrwa długo. Arcybiskup Gnieźnieński lub Rzym, ujmie się za nas.

Bóg łaskaw, miłosierny, a my wszysey do niego gorące zanosimy modlitwy.

Biskup wzruszył ramionami.

— Nie obchodzi mnie już nic — odparł chłodno — nie! nie! Skończone życie moje, nadzieje utopione na wieki! Wszystko, czego pragnąłem, czego największym kosztem dopiąć chciałem, przepadło! Nicch się sobie świat kończy!

Napróżno kapelan usiłował mu poddać myśl weselszą biskup głowę spuściwszy nic nie odpowiadał.

Wieczorem, gdy sami pozostali kazał sobie czytać Pismo święte, którego czy słuchał, czy pod ten czas o czem innem myślał, nie mógł ks. Mikołaj zmiarkować, choć często nań spoglądał. Oczy miał stojące słupem, nieruchome, twarz skamieniałą.

Kaezor mocno się zafrasował tem niezwyyczajnem pogrążeniem w sobie pana, a gdy nazajutrz podano jadlo, które biskup ledwo tknął, o nie się nie upomniawszy, szepnął oehmistrz po eichu kapelanowi, iż źle być z ks. Pawłem musiało, bo się bardzo odmienił.

Jest zaś u ludu wiarą powszechną, iż zmiana taka coś groźnego zwiastuje.

Dawniej w więzieniu rwał się i narzekał, nie-

cierpliwil, spodziewał, teraz przyjmował niewolę z obojętnością zimną, nie się nie domagając i nie skarżąc na nic.

Rozmowa z kapelanem zagajana z różnych tonów, nie dawała się zawiązać. Słuchał niby co doń mówiono, na nic prawie nie odpowiadając.

Ksiądz Mikołaj powtarzał ciągle, iż biskupa rychło musiano puścić, że Bolesław Mazowiecki powinien był przemódz Wrocławskiego Henryka, objąć Kraków i ks. Pawła wyzwolić.

Nawet ta nadzieja zwycięstwa Mazowieckiego książęcia, którego ród zawsze biskup chciał na stolicę krakowską wprowadzić, nie rozjaśniła czoła ks. Pawłowi.

Milczał i milczał długo, aż późno w noc, przy psalmach pokutnych, które sobie czytać kazał, nagle wybuchnął.

— Bóg niech się nłituje nad duszą moją! Więcej już na ziemi nie pragnę nic! Rzadko o tej grzesznej duszy myślałem wśród życia. Dwu wrogów miałem, Pudyka i Czarnego, pogrzebałem ich obu, nie zwyciężyłem żadnego! Kraj ten nieszczęśliwy porozpada się w kawały i pochłona go Niemcy!

Zalewają go, opanowują, zawojują bez żelaza!

Oczy moje już smutnej jej doli widzieć nie będą, na tę nieszczęsną ziemię patrzeć nie chcę.

Zamknąć je wolę na wieki!

Wielkim grzesznikiem jestem!

Westchnął i dodał:

— Czytaj psalmy pokutne!

Ks. Mikołaj ciągnął dalej, zadumał się Paweł.

— Ręka Boża!—zamruczał po skończeniu psalmu.—Tak! w tem wszystkiem była dłoń wszechmocnego! Ci ludzie nie sproścali mi w niczem, a pognębili mnie. Nic zmogłem losu, bo los był w ręku Boga!

Czytaj psalmy!

Wśród westchnień i wykrzykników, kapelan znowu powolnie psalmy odmawiał głosem płaczliwym.

— Tak!—mówił biskup przerywając mu.—Smutna jest dusza moja, aż do śmierci! Pocięchy nie mam żadnej. Nic się nie ziściło!

Ziemię tę rwą teraz pomiędzy sobą, Henryk Słazki co pieśni niemieckie śpiewa, Bolko Mazowiecki, którego się krakowianie boją i mały ten karzeł, Władek... i Przemyśl może i Wacław Czeski, któremu Gryfina darowała czego nie miała!

— Widzisz ty! Mikołaju!—dodał porywając się z pościeli.—Widzisz ty to. Krzyżacy z jednej, Litwa z drugiej strony, Tatarzy, Ruś, Prusacy, Czechy... Węgry... wszyscy na tę nieszczęśliwą ziemię, nielicząc mrowia niemieckiego, co ją już zalewa.

Widzisz to spustoszenie? a naszych Piastowiczów poniemczających, gryzących się jak psy z sobą, o to, aby na jak najmniejsze sztuki rozerwać królestwo, co niegdyś jednym i potężnym było!

Al czytaj psalmy.

Zaledwie głos ks. Mikołaja dał się słyszeć oplakujący grzechy, biskup w piersi się uderzywszy, przerwał.

— Al tak! tak, wielkie są grzechy moje, wielką była ślepotą! Burzliwą falą rzucała się krew we mnie, pożądałem więcej, aniżeli człowiekowi mieć wolno!

Próżne a nienasycone było serce to, którego pragnienia nic ukoić nie mogło!

I dziś, dziś tam też bezdnia co w dniach młodości! W tą przepaść wpadło ludzi tyle, krwi, łez mych własnych, a stoi tak czarna, pusta, przepaści-sta jak był!

Módlmy się!

Kapłan przerwany wiersz rozpoczynał znowu, a biskup, ledwie mu dając dokończyć, wołał wzruszony:

— Długie życie było a próżne! Przeciwnie woli Bożej, nie... *Quis ut Deus? Quis contra Deum?* Niezbądane wyroki Jego!

Co On chce uczynić z tą ziemią obcym ją dając na pastwę słabym na igraszkę, ślepym do rządzenia? Czem więcej zgrzeszyła ona, i za czyje winy srogą pokutę biczowania i więzów ponosi? Al nieczbadane wyroki Jego! Zamilkł.

Ks. Mikołaj zwolna próbował dalej czytać psalmy, w których każda dusza zboleła a skruszona, swojego cierpienia znajduje odbicie. Biskup jęczał, słowa niektóre powtarzał, wpadał w zadumę, lub boleściwie wzdychał, jakby ran jego dotknięto.

Tak część nocy przetrwali na tej modlitwie smutnej i narzekaniu. Kaganek się dopalał, ks. Mikołaj zamknął księgę.

— Boże, bądź miłościw duszy mojej! — szepnął biskup.

Nazajutrz pogodny, zimny wstał dzień jesienny, biskup wyjrzał oknem na ranny szron okrywający ziemię. Pora ta roku, łowy mu przypominała, z pod wczoraj pokutującego grzesznika, dziś namiętny łowiec wystąpił.

Patrzył na łąki rozległe, na lasy w dali i westchnął.

— Al szepnął — takiego ranka, z dobremi psy pójść w las, co to za rozkosz?

Otworzył okno.

— Co za powietrze orzeźwiające! a jaki zaduch w tej przemierzłej izbie! Cóżbym dał, gdybym mógł, gdybym siłę miał na konia sięść z oszczepem.

Wtem na myśl przyszło mu wspomnienie Werchańca, którego na łowach zabił ręką własną, zobaczył oszczep ten krwawy tkwiący w jego piersi, a oczy mu zasłzy mgłą, zamilkł upokorzony — i głowa na piersi zwisała.

Wieczorem wrócić kazał do psalmów pokutnych, lecz czytania ich spokojniej słuchał nie przerywając.

Uspokajała się powoli dusza do nawalnie przywykła, czuła w tym spokoju błogość jakąś, więcej obiecującą się, niż zdobyta.

Żrana, gdy podano jedzenie, oznajmiono razem biskupowi, duchownego przybywającego z Kra-

kowa. Wszedł, stary jak ks. Paweł, dziekan krakowski, który raz już do klejenia zgody między biskpem a Leszkiem należał.

Ks. Paweł łatwo przewidzieć mógł, że i teraz mu przynosi warunki przejednania, nie wzruszyło go to bynajmniej. Witał go nprzejmie ale obojętnie.

W istocie dzickan przychodził ze słowem zgody od księcia Henryka. Od oznajmienia tego zaczął, Paweł nie poruszony jak był pozostał.

— Książę Henryk? — odparł powoli — Henryk niemiec mieć za sobą będzie mieszczaństwo krakowskie, ci przecież nie o wszystkim stanowią! Uda się im zdać mu Kraków, ziemianie się opatrzą, że i oni tu coś znaczyć powinni. Od czegożby się ziemianami zwali, gdyby ta ziemia nie ich była?

Uwolni mnie dziś Henryk, a jutro...

Zadumał się.

— Nie pilno mi! — dodał. — Nie widzę w przyszłości nic oprócz zamętu strasznego, z którego by cbyba dłoń silna wyratować mogła. Gdzież ona jest?

— A Bolko Mazowiecki? — odparł dziekan.

Bisknp zbył milezeniem.

Zdziwił się ks. Wojciech, zdawna znając go, znajdując tak zobojętniałym na wszystko. Niewiedział go takim nigdy. Przez cały dzień próbując czemś wywieść z tej odrętwiałości, nie zdołał ani odżywić, ni wydobyć stanowczego słowa.

— Do Krakowa powracać? — Co mi potem? Mazowieccy zechcą się mną posłużyć, bo wiedzą, że im sprzyjałem i sprzyjam; dla tego, że wiele serca mieli i siły więcej niż drndzy. A ntrzymająż się oni przeciwko Ślązakom i Czechom, a innym chciwym Krakowa, choć go utrzymać nie potrafią?

Pokoju nie dożyję, wojny więc nie pragnę już.

Wieczorem, dzickan zdumiał się znowu, słysząc, że bisknp od kapelana psalmów pokutnych zażądał.

— To moje najmilsze czytanie, najlepsza modlitwa! — rzekł z westchnieniem.

Ks. Mikołaj otworzył księgę i zwolna psalmy czytać począł, które ks. Paweł cicho za nim powtarzał. Stary dziekan nie mógł od tego nowego dlań widoku oczów odwrócić. Nie znał biskupa tak usposobionym do skrachy i pokuty.

Niektóre wiersze psalmów kazał sobie powtarzać, bo mu mocniej do serca przypadały. Jęczał i wzdychał. Do późnej nocy siedzieli tak na modlitwie.

Gdy nazajutrz dziekan, nic nie sprawiwszy, do odjazdu się sposobił, rzekł mu ks. Paweł żegnając się z nim.

— Proszę was, powiedzcie tam we dworze, niech starego mojego psa Pogońca, dobrze karmią. Zasłużył on na to. On stary i ja, nie pójdziemy już w las z sobą, ale niech głodu nic cierpi.

Ta czułość dla psa, gdy biskup nigdy jej nie okazywał nawet dla ludzi, jeszcze raz wprawiła w zdumienie ks. Wojciecha. Nie pozuawał człowieka.

W progu dorzucił żegnając się z nim.

— Jeżeli żyw, pozdrówcie odemnie O. Serafina u św. Franciszka.

Mąż jest święty.

Drzwi się zamknęły. Płynęło w tem więzieniu życie prawie klasztorным trybem.

Kaczor, który na pociechę pił, a podpiszwszy czuł się w obowiązku przychodzić biskupa rozrywać, znajdował go głuchym i obojętnym. Często nawet odprawiał go, okazując niesmak i wstręt.

— Zły to znak — szeptał Kaczor — kiedy stary człek jak ten nasz, z dnia na dzień się odmieni. Nic daj Boże nieszczęścia!

Pode drzwiami psalmom się przysłuchując, sługa odchodził markotny. Zaczynał myśleć o sobie, co pocznie, gdy biskup zemrze, bo czuł, że śmierć musiała być bliską.

Na przekor tej przepowiedni Kaczora, ks. Paweł, którego tu przywieziono osłabłym i cierpiącym mocno, widocznie spokój ducha odzyskawszy i na zdrowiu lepiej poczynął.

Twarz mu zbladła, pomarszczyła się, krwawe oczy zbielały, mowa stała się łagodną.

Gniew rzadko i na krótko się zjawiał.

Kilka tygodni trwała ta niewola biskupa, klątwą zagrożono z Gniezna, musiał być na wolność puszczony. Jednego ranka znalazł się bez straży, oznajmiono mu, że może się udać, gdzie zechce, ale o zgodzie i przejednaniach, mówić z kim nie było.

Łoktek walczył właśnie o Kraków z Henrykiem.

Ks. Paweł oswobodzony nie wiedział dobrze gdzie się obróci. Do Krakowa jechać nie chciał, Kunów i Łągów mu zbrzydły. Kaczor, który natychmiast do wyjazdu się sposobić zaczął, sądząc, że panu wyrwać się ztąd będzie pilno, nie zrozumiał go, gdy mu powiedział, iż sam nie wie jeszcze dokąd i kiedy pojedzie.

Sposobiono przecież wozy, a ks. Wojciech przyjechał z Krakowa z pieniędzmi i odzieżą, która mogła być na drogę potrzebną.

Namawiał do stolicy, wahał się ks. Paweł, parę dni tak upłynęło. Gdy nań nalegano, odezwał się:

— Wieścież mnie dokąd chcecie! Jedno mi już gdzie siedzieć będę, bylebym kościół miał. Nadeszły dni pokuty. Niewiele już czasu wedle przepowiedni zostało mi na nią.

Stan ten człowieka, który dawniej nie dawał sobą rządzić nikomu, a na samą myśl, że ktoś mógł mu swą wolę narzucać oburzał się naprzekór czyniąc, obudzała litość w otaczającym go duchowieństwie.

Mąż woli potężnej był całkiem złamany.

Dziekan za Krakowem był, a choć ks. Paweł nie życzył sobie dla mieszczaństwa niemieckiego, które górę w nim brało, nie sprzeciwił się.

— Wieście i do Krakowa, gdy chcecie—odparł obojętnie—wszystko mi jedno.

Na pół już drogi, Kaczor dobył z milczącego pana życzenie spoczynku. Zatrzymano się w Tarezkcu.

Był tam nie wielki dwór, w którym przesiedzieć czas jakiś było można. Został nie dbając o wygodę i ruszać się dalej nie okazywał ochoty.

Na zamku Sieradzkim pusto było i smutno lecz bezpiecznie i zaciszno na zimę, gdy w Tarczku, gdzie się biskupa nie spodziewano, dom nieopatrzoney, zimny, mały, pusty, ledwie go z ludźmi mógł pomieścić.

Jedną izbą dla siebie ograniczając się, drugą ks. Paweł na kaplicę przeznaczył. Zostali tu, bo się czuł znużonym i słabym. Czytano mu znowu psalmy pokutne, ale teraz żadne narzekanie i wspomnienia przeszłości modlitwy tej nie przerywały.

Rozprawiali się książęta, dobijając o Kraków, Paweł nawet Mazowieckimi, z którymi trzymał, odmówił wszelkiego poparcia,

— Zostawcie mnie w pokoju — odpowiadał — walczyłem długo!

Z rana odprawiał mszę świętą w kaplicy, potem czytać sobie kazał, albo się modlił siedząc, bo już dla boleści w nogach i obrzęknięcia klęczeć nie mógł. Cierpienia przyjmował, nie skarząc się na nie prawie, radośnie.

Trzy lata całe trwało to powolne konanie. Niekiedy, gdy mu przynoszono wiadomości o zwycięztwach łokciowego Władka, to o przewadze Ślązaka, to o groźnych nowych sporach i zatargach, zgasłe oko błysło mu jeszcze, ruszył się, drgnął. Stary człowiek chciał dawne w nim prawa odzyskać, ale wnet go pokutnik zwyciężał. Spuszczał żrenice powtarzając cicho:

— Bądź wola twoja!

Śluchał potem ostygły prawie, opowiadań o burzach, które się po kraju rozpościerały.

W r. 1292 przestał się już o swej mocy podnosić, milczał, mruczał modlitwy, siły coraz bardziej go opuszczały. Sam rachował miesiące i tygodnie, które mu wedle przepowiedni, do życia pozostawały. Ostatnią troską jego był niepokój o wybór następcy po sobie.

Dnia jednego ks. Mikołaj, który go nie opuszczał, znalazłszy słabszym niż zwykle, chciał wezwać mnicha Cystersa, który tu czasem przybywał z radą lekarską, a raz już zagrożonego śmiercią uratował.

Biskup się temu sprzeciwił.

— Przeciwnie woli Bożej, żaden lekarz nie poradzi—rzekł—godzina moja nadchodzi.

Otwarto drzwi drugiej izby, która za kapliczkę służyła. Ks. Mikołaj wyszedł ze mszą świętą.

Zwykle gdy ona się tu odprawiała, wpuszczano domowników a nawet obcych, jeżeli jacy do Tarczka przybyli.

Dnia tego nacisnęło się pobożnych więcej niż zwykle, zwabionych może tem, iż o pogorszeniu zdrowia biskupa slyszeeli.

Wśród ciżby, która małą zapełniała izdebkę, na wpół już zgasłe oazy chorego, dostrzegły niewiastę w sukni zakonu św. Franciszka, z twarzą osłoniętą, klęczącą za wszystkiemi u progu. Niepokój go ogarnął, obumarłe zabłysły zrenieci.

Pokutnica modliła się gorąco cała zatopiona w sobie.

Ks. Paweł oczów od niej nie mógł oderwać—drżał.

Wzrok z pod grubej zasłony raz tylko padł na niego, było to przy końcu mszy, gdy kapłan od ołtarza przeżegnał przytomnych.

Biskup Paweł zwolna pochylił się na poduszki, powieki się przymknęły, krzyżyk, który trzymał w ręku przycisnął do piersi.

Zwolna wszyscy do kaplicy wpuszczeni wychodzić zaczęli, a niewiasta klęczała u progu ku łóżu spoglądając.

Kaczor z lekka za ramię ją ująwszy wskazał, że i ona wyjść była powinna.

Pochyliła się ku ziemi, całując ją, podniosła i zawołała głosem wielkim.

— Wieczne odpocznienie racz mu dać Panie!

Ks. Mikołaj przeleknął nie mając czasu alby zrzuć, przybliżył się ku łóżu.

Biskup nie żył.

X.

Straszna była zamięć zimowa. Wiatr szalał uiosąc z sobą chmury śnieżnych białych płatków.

Nad Prądnikiem na Skale zakonnice w chórze odmawiały modlitwy, gdy w chwili malej uciśnienia zdało im się, iż nysłyszały głos błagający i wołanie boleściwe.

Zadna z nich powiedzieć nie mogła zkąd przerażający ten głos cierpienia dolatywał.

Przyuiosła go burza, powietrze niem jęknęło, wyszedł z pod ziemi? był jakby wołaniem grobowem duszy w czyścu udręczonej, czy zwodliwym krzykiem ptaka, eo ludzką boleść przedrzeźnia?

Przłożona, której nszu doszedł, po skończonych modlitwach, „Anioł Pański“ za w czyścu cierpiących odmówić kazała.

I raz jeszcze ten sam jęk odezwał się — zkąd? niepochwycono, bo go zaraz wycie wichru zagluszyło.

Przerażone nim wyszły z chóru zakonnice, a u furty siedząca na poły głucha siostra Plecyda ze drzeniem opowiadać zaczęła, że i ona jęk jakiś dobywający się z ziemi słyszała. Nieochybuie sądzono, iż musiał być płaczem duszy o ratunek wołającej, domagającej się modlitwy.

Przez całą noc śnieżnica mroźna szalała, wszystkie załomy przy murach poprzysypywał śnieg uagromadzony zawieją.

Umiatano podwórza, gdy silne dzwouienie do wrót słyszeć się dało. We drzwiach stała baba, która uabiała i jaj do klasztoru dostarczała, z bladą twarzą, wskazując eoś po za sobą, a ze strachu mówić nie mogąc.

Odważyła się wyrzeć siostra furtjauka.

U progu furty na wpół zasypana śniegiem, kłęczała z twarzą ku ziemi, z rękami ściśniętymi jak do modlitwy, uiewiała w sukni zakonnej św. Frauciszka, ku kościołowi obrócona, zastygła już i skostniała.

Wnet nadbiegły ją ratować zakonnice.

Z wielką trudnością dało się wydobyć ciało z zaspy śnieżnej, w której do połowy tkwiło. Życia już nie rozbudzić nie mogło w zmarzłej pokutnicy. Nie poznał ją nikt, zajęto się pogrzebem nieszczęśliwej, gdy przybyły z Krakowa przypadkiem staruszek O. Prochor, wejrzawszy na zwłoki oznajmił, że to była owa Bicta, niegdyś ze Skały porwana i uwieczniona.

Świadczył kapłan, iż pojednania z Bogiem, w skrusze i na pokucie dekonala.

W rogu cmentarza opodał od zakonnic, złożono jej zwłoki na spoczynek wieczny.

K O N I E C.

Grudzień 1879.
W starym domku

PRZYPIS.

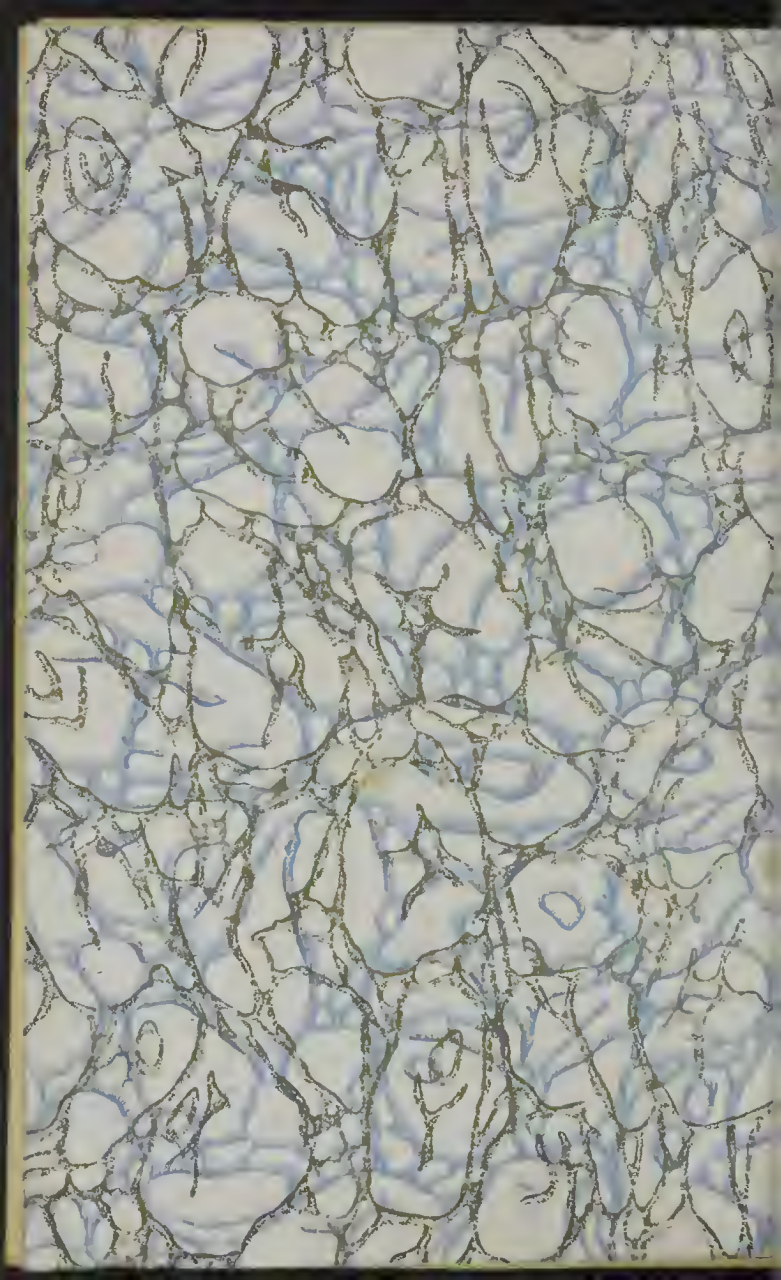
Historja Pawła z Przemankowa, tak, jak ją tu podajemy, pozostała nie tylko w kronice Długoszwowej, ale w aktach kapituły i mnogich współczesnych dokumentach. Badał ją krytycznie ś. p. Aleks. Przezdziecki i Biskup Łętowski. Trzymaliśmy się w niej wiernie podań i faktów, na których osnowie powieść nasza została opartą.

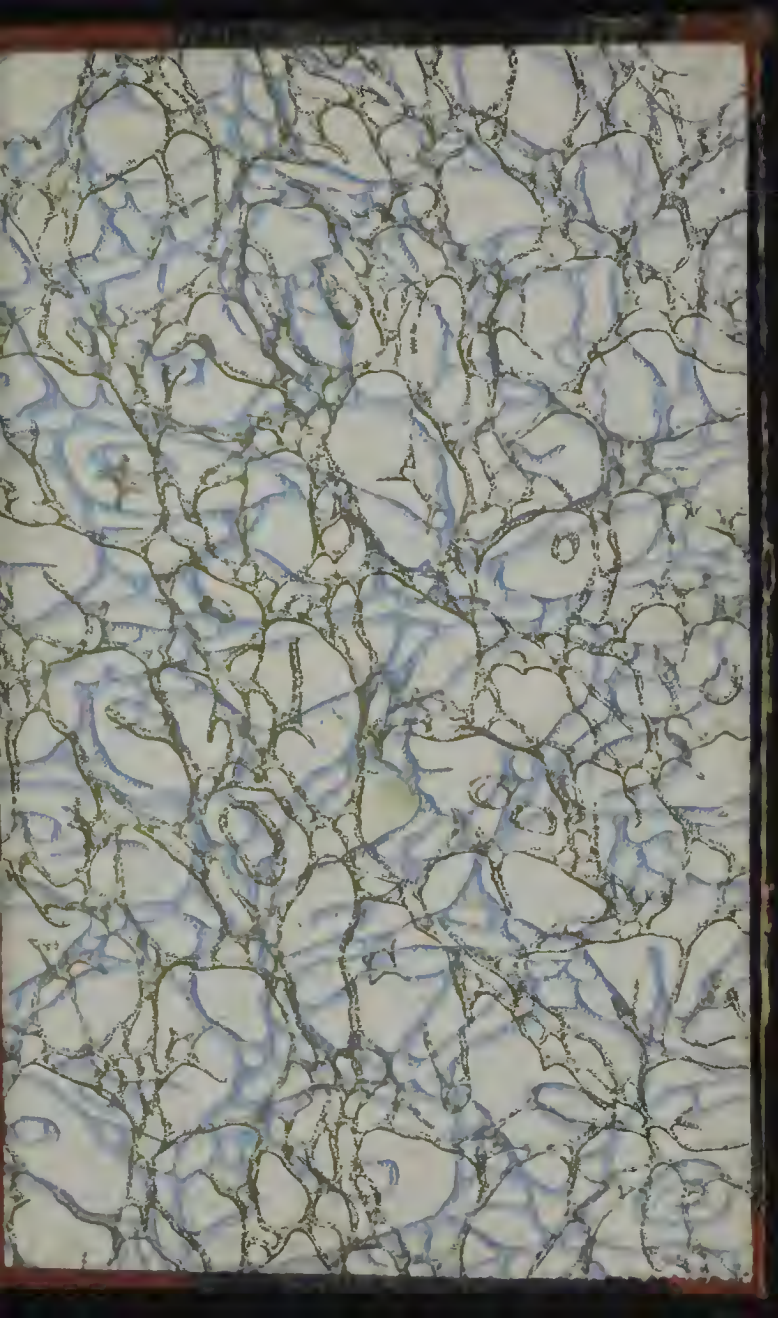


11-11-12-10

11-11-12

11-11-12





Biblioteka Raczyńskich

JIK 1406



JIK1406